



KRZYSZTOF BONK

AREZAR

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

Arezar

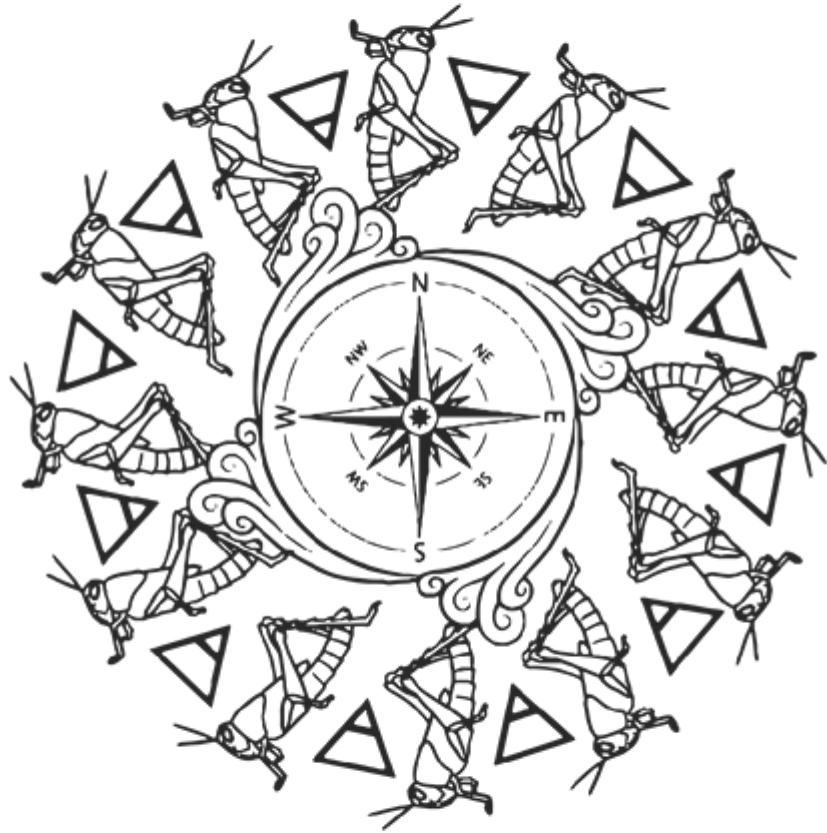
Cykl Pendorum V

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-958-6
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)





I. JUŻ CZAS

Zatem już czas, już czas... Poprzysięgam na moją matkę, na jej święte imię, że tym razem nie zawiodę i spełnię jej wolę! Nie dam się ponownie pokonać...

Uchylam się przed wymierzonym we mnie ciosem miecza i jednym z własnych krótkich ostrzy tnę w kierunku nóg przeciwnika. Ten uskakuje do tyłu i ponawia uderzenie z góry na dół. Paruję cios moimi mieczami, czynię piruet i trafiam swym orężem w opancerzone ramię. Natychmiast kucam i wślizgiem podcinam nogi opancerzonego rywala. On jednak odgaduje moją intencję i w kontrolowanym upadku przewraca się prosto na mnie. W ostatniej chwili balansem ciała nie daję się całkiem przygwoździć do podłoża i spleceni we wspólnym uścisku turlamy się razem po ziemi. Po drodze tracimy nasz oręż i walczymy już tylko za pomocą siły własnych ciał.

Aż udanie odpycham od siebie przeciwnika, po czym wyciągam rękę po jedno z mych porzuconych ostrzy. Chwytam je i błyskawicznie przykładam do cudzego gardła. Z tą chwilą na mojej twarzy pojawia się kąśliwy i ze wszech miar triumfalny uśmiech. Wygrywam, wreszcie wygrywam, nareszcie! Cieszę się szczerze jak dziecko, którym do niedawna jeszcze byłem, lecz już bynajmniej nie jestem.

Wstaję sprężyście i podaję rękę po raz pierwszy pokonanemu przeze mnie memu ojcu, Zanowi. Jestem z siebie naprawdę dumny, ponieważ zwycięstwo w tym przyjacielskim pojedynku jest dla mnie zarazem przepustką do wielkiego świata z jego nieprzebrany bogactwem. Przede wszystkim zaś do wypełnienia przepowiedni mej matki o koronie całego Pendorum zdobiącej skronie jej syna, Avezana, czyli mnie samego we własnej osobie.

Starszy już mężczyzna z moją pomocą podźwiga się do pionu i uśmiechając się ciepło, czyni ku mnie wymowne skiniecie głową. Tak, to potwierdzenie, że w końcu zdaję egzamin i mogę wyruszyć na kontynent Pendorum, aby ziścić tam marzenie mej matki, jak i swoje własne.

Mocno obejmuję Zana, po czym dumnie niczym paw kroczę z podniesioną głową do pobliskiej wioski. Muszę czym prędzej powiadomić o radosnej nowinie mą ukochaną, przekazać jej, iż z najbliższym statkiem wypływam na wielką wodę w niezwykłą podróż po niepojętą wręcz przygodę!

*

– Doigrałeś się, rycerzu Arezara, własny syn cię w końcu pokonał... – oznajmia starsza kobieta z siwymi włosami i w prostej, szarej sukni do stojącego samotnie na łące zakonnika. Ten spokojnie odpowiada:

– Jedynym sędzią tego pojedynku był czas nakreślony przez dane obietnice.

W odpowiedzi kobieta marszczy brwi, zapytując:

– Czas, obietnice...?

– Tak – potwierdza Zan. – Obiecałem synowi, że opuści wyspę, dopiero gdy mnie pokona. I właśnie nadszedł czas, kiedy to dałem się pokonać. Uczyniłem to, ponieważ Avezan kończy już dwadzieścia jeden lat. A jest to wiek, w jakim zmarła jego matka. Jej z kolei złożyłem przyrzeczenie, iż dłużej niż czas jej ostatniego żywota nie zatrzymam jej dziecka na wyspie bez nazwy, a puszcze go po wielkie czyny na wielki świat.

– Więc... Wasz syn nie jest do swej misji gotowy, skoro tak naprawdę podarowałeś mu wygraną...? – wyraża wątpliwość starsza kobieta.

– Czekaj go trud, któremu i tak nie podołaliby najwięksi, zwycięscy, mityczni herosi...

– A zatem?

– Zatem wypuszczam go na otwarty świat. Albowiem od zawsze jest do swej misji gotowy bądź też skazany na zgubę.

– Mówisz o przeznaczeniu... – stwierdza w zadumie siwowłosa kobieta.

– Tak, o przeznaczeniu. Osobiście dałem memu dziecku sielankową młodość, szczęście i beztroskę. Teraz w swe szpony weźmie go jego własne przeznaczenie. I co z nim uczyni, jaki będzie tego finał? – Spogląda z nadzieją ku niebu. – Gorąco pragnę wierzyć, że wbrew klątwom i przeciwnościom losu taki, jaki przepowiedziała Avezanowi Anrea. I z taką wiarą pozostanę tu, na tej wyspie.

– Więc nie popłyniesz z synem?

– Ktoś musi tu pozostać, aby chronić wioskę. To kolejna obietnica złożona mej odwiecznej ukochanej. – Wzrusza ramionami Zan i z melancholią w głosie dodaje: – Poza tym Avezan osobiście musi się zmierzyć ze swoim przeznaczeniem, podobnie jak każdy z nas...

– Zatem z wiarą, rycerzu, z wiarą – żegna się kobieta i odchodzi.

– Z wiarą – odwzajemnia pozdrowienie Zan.

*

– Ukochany...

– Ma ukochana, Arlino! – Toniemy we wzajemnych objęciach.

– Co cię tak uszczęśliwia, czyżby widok mej nowej fryzury i ozdób we włosach...? – Arlina kokieteryjnie poprawia swe złociste loki, a w nich wplecione, wielobarwne wstążki. – A może tak wprawia cię w zachwyt ma suknia, którą ostatnio przerobiłam...? – Głaska koronkowy materiał na piersiach wpadający w delikatny róż z diamentową bielą.

– Nie! To coś zupełnie innego! – Obnażam śnieżnobiałe zęby w szczerym uśmiechu.

– Więc...? – Moja dziewczyna uśmiecha się przesłodko i szybko trzepocze długimi rzęsami, przykrywającymi błękit jej oczu.

– Wypływam! – wypalam radośnie, nie mogąc dłużej tłumić w sobie radosnej nowiny. – Wyruszam do Pendorum! – krzyczę ku górze aż wniebogłosy.

– Wy... pływasz. – Cudny dziewczęcy uśmiech w jednej chwili blaknie. – Wy... ruszasz... – Usta Arliny z poziomej kreski przyjmują kształt odwróconej nóżkami ku dołowi podkowy. – Więc po... rzucasz mnie... – Na moim policzku ląduje uderzenie otwartą dłonią. – Porzucasz, tak po prostu!

– Ależ skąd – zaprzeczam i dla odmiany dotykam delikatnie gładkiego lica mej ukochanej, po czym chwytam ją za rękę. – Zabiorę cię ze sobą! – oświadczam gromko.

– Do... Pendorum...?

– Oczywiście!

– Pendorum...

– Ależ tak!

– Otóż nie... – Arlina kręci zrezygnowana głową.

– Nie? Ale...

– Mówię nie. – Naburmuszona raptem dziewczyna tupie ostentacyjnie nogą.

– Czemuż to...? – zapytuję jękliwie.

– Znam opowieści wędrowców i nie wyruszę tam... – Wyrzywa się z mego uścisku. – Musisz wybrać. Ja, twoja miłość, albo Pendorum, ta okrutna kraina. – Odwraca się i dumnie odchodzi pomiędzy wiejskie zabudowania, bacząc uważnie, by nie ubłocić swej długiej, eleganckiej sukni.

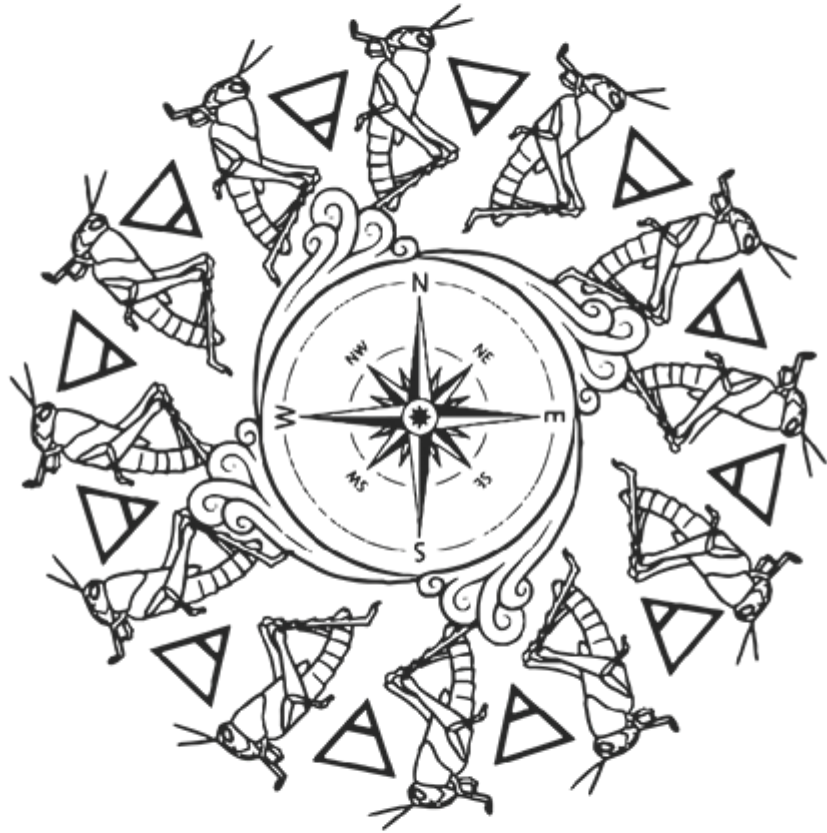
Pozostawiony sam ze sobą wzdycham głęboko. Jednakże decyzję o tym, co powinienem uczynić, podjąłem już tak dawno, jak tylko pamiętam. Dlatego oczywiście, że popłynę, popłynę! Ale też...

– Wróć! – krzyczę radośnie w ślad za Arliną. – Obiecuję, że wrócę po moją przyszlą, najukochańszą władczynię, samą imperator Pendorum! – wyrzucam z siebie i jednocześnie już czynię żwawe kroki w kierunku skromnego portu, a zaraz szaleńczym biegiem porywam się właśnie do niego.

Jeszcze tego samego dnia odpowiedni statek zsyłają chyba sami Bogowie, jakby zapraszając mnie do objęcia należnego mi tronu. Okazuje się bowiem, że przybyły okręt bierze kurs na archipelag wysp w pobliżu Pendorum skąd bez problemu znajdę kolejny wodny środek transportu na pożądany przeze mnie kontynent.

Tak więc wyruszam i nie spocznę, dopóki nie dopnę swego. Mianowicie zgodnie z przepowiednią matki, samej Bogini, mitycznej Anrei, nie zostanę

imperatorem niepodzielnie władającym wielką, należną mi krainą!



II. PODRÓŻ

Pogoda sprzyja morskiej wyprawie. Niebo jest bezchmurne i czyste, wręcz nieskalane niczym me pragnienie wypełnienie mego posłannictwa. Wieje też silny wiatr, który dmie w żagle, wybrzuszając je dumnie. Podobnie i ja stoję odważnie na dziobie statku i wyzywająco wypinam pierś gotowy podołać wszelakim wyzwaniom.

Tak bardzo łaknę odmiany, przygody i nowych wrażeń. Posiadam nieprzeparane odczucie, że przybliżyła mnie do nich każdy zaczerpnięty do płuc głęboki wdech.

Kiedy zaś wreszcie przybędę do Pendorum, dokładnie wiem, co winienem czynić. Moją powinnością będzie iść za głosem mądrości mego ojca, Zana. Natomiast w sercu zawsze nosić będę niezachwiane uczucie do matki, Anrei, wyznaczającej mi cel. Rodzice są moją ostoją, opoką i drogowskazami. Dzięki pamięci o nich nigdy nie zostanę sam i nigdy nie zgubię się w tym, co powinienem czynić. O tym jestem przekonany, właśnie ja...

Na chwilę spoglądam w zamyśleniu na lustro wody w otwartej beczce i puszczam do siebie oko. Czynię to do wizerunku młodego mężczyzny o krótkich rudych włosach i trochę piegusa z jasnymi oczyma – to scheda po matce. Za to po ojcu dziedziczę pokaźny wzrost i atletyczną budowę ciała. Choć za nieodzowną część mnie samego osobiście uznałbym także moją broń. To dwa krótkie ostrza przy pasie, ale również przewieszony przez plecy długi miecz.

Tak, szkoliłem się biegle we władaniu bronią obojga moich rodziców. Albowiem chociaż na dobrą sprawę dane mi było poznać tylko jednego z nich, to każdy z moich rodzicieli jest dla nie równie ważny i moim bojowym rynsztunkiem oddaję im swego rodzaju cześć. Temu, czego wspólnie w swych żywotach dokonali na nieznannej mi ziemi.

Choć tak naprawdę nie wiem, co zastanę obecnie na kontynencie Pendorum. Czy czeka tam na mnie zjednoczone imperium, aby powitać wiwatami jako swego prawowitego władcę, imperatora? A może kontynent wciąż jest podzielony, jak dawniej i będę zmuszony jednoczyć go w trudzie, a także siłą za pomocą krwawego oręża? Nie wiem tego, lecz cokolwiek tam zastanę, podołam temu. Tak, wiem, że podołam i zaprowadzę w krainie mej matki trwałą pokój.

Mając tę chwalebny myśl w głowie, odrywam wzrok od własnego wizerunku w beczce wody i niemal w uniesieniu spoglądam na odległy, morski horyzont. Dostrzegam tam pierwsze białe kłębiaste chmury i mógłbym wręcz przysiąc, że układają się w kobieco-męską parę. Z uśmiechem na ustach przyjmuję to jako błogosławieństwo mych ukochanych rodziców.

Aż pewnego słonecznego popołudnia zauważam na widnokręgu zarys odległego lądu. Wkrótce jawi się przede mną kamienisty i częściowo zalesiony brzeg oraz okazałych rozmiarów port. To tutaj, na tej wyspie, powinienem znaleźć drugi statek, który zabierze mnie do samego Pendorum. Na szczęście fortuna nieodzownie mi sprzyja i po krótkim pobycie w dokach, gdzie zasięgam języka, już wkraczam na kolejny okręt.

Ten jest znacząco większy od mego dotychczasowego środka transportu. Posiada wielką ładownię i dwa pokłady. Jeden zakryty z wieloma kajutami, w tym zakupioną na czas podróży właśnie dla mnie. Natomiast na górnym pokładzie znajdują się liczne pomieszczenia i kłębiący się tu różnorodnie ubrani ludzie.

Przechodzę pomiędzy nimi z zainteresowaniem, przyglądając się im oraz kłaniając z lekka, gdy natrafiamy na siebie wzrokiem i odruchowo się uśmiecham. Aż naraz staję zupełnie jak zamurowany, czy może raczej oczarowany?

Wzdłuż jednej z burt dostrzegam rząd siedzących, półnagich ludzi w łańcuchach. Lecz mój wzrok ogniskuje się wyłącznie na zniewolonej dziewczynie o czarnych, długich i prostych włosach oraz hebanowych oczach, a skórze lekko brązowej, jakby zbyt długo opalanej w prażącym słońcu. Postać ta jest średniego wzrostu, o pełnych, kobiecych kształtach i łagodnych rysach twarzy z pełnymi ustami i dość szerokim nosem. I

świdruje mnie ona intensywnie swymi hipnotyzującymi oczyma, jakby nie pozwalając od siebie oderwać wzroku.

Wtem otrzymuję siarczyste uderzenie dłonią w plecy, a z boku słyszę rubaszny śmiech, po czym wzgardliwie wypowiedane ku mnie słowa:

– Ha! Młodzieńcze! Czyżby mój kobiecy towar wpadł ci w oko i nie możesz go sobie z niego wyłuskać? Bo nie przeczę, że jest na czym zawiesić spojrzenie... – Z ukosa zauważam mężczyznę z niebieskimi tatuażami na ramionach oraz ze złotymi, górnym jedynkami w wyszczerzonej szczęce, a także srebrnymi kolczykami w uszach, chuście na głowie i w czarnej przepasce na oku. Ten gromko kontynuuje: – Do Pendorum czeka nas daleka droga. Daleka i w samotności, zaiste, wielce monotonna... Chyba że skorzysta się z kobiecego towarzystwa, a wówczas podróż zleci, niczym z bicza strzelił! Do tego będzie, oj będzie co wspominać... Tak więc co powiesz na wynajem tej oto zniewolonej damy, hę...? Zaręczam, iż jest zdrowa, umyta, jak również usłużna i zna się na rzeczy... Choć to przeklęta przez Bogów niemowa...

– Niemowa... – powtarzam bezwiednie, wpatrując się nieustannie w dziewczynę.

– Ta... – przytakuje mężczyzna i spluwa na bok, po czym konkretyzuje ofertę: – Trzy złote aureusy albo ich równowartość i do końca morskiej podróży ta egzotyczna ślicznotka jest twoja. Co ty na to?

– Aureusy... – mówię i wyciągam z kieszeni garść błyszczących krążków, monet podarowanych mi przez ojca.

– To za mało... – Krzywi się na twarzy typ koło mnie i drapie zde gustowany po siwawej szczecinie na brodzie.

Już chcę schować monety, zamykając dłoń w pięść, kiedy dziewczyna w łańcuchach chwyta moją rękę i otwiera me palce. Następnie przesuwając moją dłoń do swego właściciela.

– Hm... – Ten mruży w zamyśleniu i zaraz rezolutnie stwierdza: – Niech stracę. – Bierze sprezentowaną mu zawartość mego majątku i łączy moją rękę z ręką dziewczyny. – Zatem ogłaszam was sobie parą niczym mężem i żoną. W każdym razie na czas podróży... – szydzi i zdejmując dziewczynie łańcuchy. Potem wręcza mi pełen bukłak.

– Nie chcę mi się pić... – oświadczam ciągle oszołomiony zaistniałą sytuacją.

– To nie dla ciebie, młodzieńcze, to dla niej, dla Nail... – Mężczyzna łypie oczyma na dziewczynę. – To napój Harremid. Na łodzi ta niewolnica ma mieć ciągle puste łono, rozumiesz...?

Kiwam na potwierdzenie głową. Ale zaraz zaprzeczam:

– To i tak nie będzie potrzebne, napój Harremid.

Na co mężczyzna patrzy na mnie z politowaniem i z pewnością siebie oznajmia:

– Ależ to będzie, będzie potrzebne... Już słodka Nail o to zadba i się o ciebie należycie zatroszczy, zaufaj mi... – Posyła mi ostatni, zwodniczy uśmiech, gdzie drwina miesza się z lekceważeniem. Wciska bukłak do ręki dziewczynie i traci nami zainteresowanie, wdając się z kimś innym w dyskusję.

Wobec tego prowadzę dziewczynę imieniem Nail za rękę i czynię to aż pod pokład i dalej do miejsca, gdzie mam wykupioną skromną kajutę. Zaś po drodze zastanawiam się, co ja właściwie wyprawiam? I zaraz utwierdzam się w przypuszczeniu, że po prostu dam tej dziewczynie trochę spokoju i wolności. A czemu to uczynię? Dla mej matki, niemowcy, jak ona oraz ojca, który również gardził niewolnictwem. Jestem im to winien, osobom, którym zawdzięczam wszystko, ponieważ to one dały mi życie.

W kajucie zamykam za sobą drzwi. Staję przodem do niewielkiego bulaju, szyby, za którą widać morską toń, a tyłem do Nail, po czym prezentując pomieszczenie, oznajmiam:

– Warunki są tutaj skromne. Jest tylko jedna, wąska koja i jeden koc, ale sam chętnie prześpię się bez nakrycia na podłodze. Zaręczam też, że nikt nie będzie ci tu przeszkadzał. Na czas podróży zapewnię ci żywność, schronienie i spokój, czyli coś, co powinien otrzymać każdy człowiek... Tak w każdym razie mawiał mój ojciec... Jeżeli natomiast martwisz się, za co nas utrzymam, to się nie przejmuj. – Wyjmuję z drugiej kieszeni kolejną garstkę monet. Odwracam się przodem do dziewczyny i naraz szeroko otwieram zarówno usta, jak i dłoń, z której wypadają metalowe krążki, by z brzdękiem rozsypać się po nierównej podłodze.

Tego dnia na widok Nail już po raz drugi zostaję wręcz zahipnotyzowany, zupełnie jakby rzucała ona na mnie magiczny urok. Jednakże tym razem doznanie to jest jeszcze intensywniejsze, bowiem naprzeciw mnie stoi dziewczyna, która jest teraz całkiem naga.

Cóż powiedzieć. Choć zdążyłem już dorosnąć, to z moją jedyną miłością, Arliną, łączyły nas jedynie nieśmiałe pocałunki i nigdy nawet nie widziałem nagiego, kobiecego ciała. I nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, że może być ono tak doskonałe, niewymownie piękne i pociągające, wręcz odbierające zmysły.

Niemal drżącą ręką dotykam ciepłej skóry na łonie dziewczyny i delikatnie przesuwam opuszki palców na krągłą pierś. Naraz czuję aż zawroty głowy, jak również to, że przestaję nad sobą panować. Dlatego, żeby nie zrobić czegoś niestosownego, padam ciężko tyłkiem na drewnianą koję.

I już pragnę powiedzieć do Nail, aby się ubrała. Jednakże słowa więzną mi w gardle i cały czas łakomie wodzę wzrokiem po ciele dziewczyny. Ona zasłania mi dłonią usta, po czym siada na mnie okrakiem, a drugą ręką odpina mi pasek od spodni. I w tym momencie, czując tak bliski kontakt z kobiecym ciałem, ja sam jestem już całkiem zniewolony. Dlatego ostatecznie kapituluję i poddaję się porywającemu mnie zmysłowemu światu prawdziwej namiętności.

Dziewczyna zdejmuje mi z pleców koszulę, a potem bierze się za spodnie i zaraz oboje jesteśmy już całkiem nadzy. Następnie ulegając naporowi dziewczęcego ciała, kładę się na plecy i zjednoczeni ze sobą się kochamy.

W tej dosłownie mistycznej dla mnie chwili cała pamięć o słodkiej Arlinie w jednym momencie umiera. Ginie bezpowrotnie, a w jej miejsce rodzi się postępująca, niewymowna rozkosz, której źródłem jest inna postać, a mianowicie tajemnicza Nail w moich ramionach.

Oddaję się obszernym, zmysłowym ruchom kochanki, która siedząc na mnie, eksponuje bujne piersi i nie przestaje się kołysać. A jednocześnie nieustannie uwodząco i z niezmienną powagą spogląda mi głęboko w oczy. Sam tonę w tym spojrzeniu, zaś ruchami swego ciała współgram z falującym ciałem Nail. Dłoniemi wodzę z namaszczaniem po dziewczęcych

krągłościach, jakby ucząc się na pamięć doskonałej linii piersi, talii, pośladków i ud.

Ta idylliczna miłość, czysta rozkosz podchodząca z zespolenia dwóch ciał, prowadzi mnie aż do samego szczytu spełnienia. I nagle otwiera się przede mną zupełnie inny świat, zmysłowy i wyrazisty, pełen upojenia, doprawdy wiele wart. Wielce zaintrygowany zauważam, że o taki świat, zaiste, jestem gotowy już zawsze walczyć dla siebie oraz innych. Tak, gotowy jestem walczyć. Walczyć i kochać do utraty tchu.

Przeczესuję długie, czarne włosy kochanki i sprawnym balansem ciała sprawiam, że to ja znajduję się na niej, a ona leży teraz na plecach. Wtulam się w jej ciało i zatapiając usta w szyi, to w ramionach, odurzam się jej ognistym zapachem, który jeszcze podsyca we mnie namiętność, abyśmy kochali się znowu i raz za razem.

Kolejne dni i czas spędzony z Nail to prawdziwa magia, której nie da się porównać z niczym innym i którą nieustannie odkrywam wciąż na nowo za każdym razem, gdy obdarzamy się cielesną miłością. Kiedy zaś odpoczywamy, leżymy razem w objęciach w błogości i nieskazitelnej ciszy.

Ciągle nie rozmawiamy, choć osobiście zostałem nauczony mowy gestów. Lecz jest tak cudownie, wręcz doskonale, że o czym mielibyśmy prawić? W zupełności wystarcza nam wzajemne spojrzenie sobie w oczy, słodki uśmiech, czy delikatna pieśczota. I wiemy już wszystko, co trzeba, wiemy, iż łączy nas prawdziwa wybuchła nagle między nami miłość, która bez wątpienia przewyższa wszystko.

Aż pewnego dnia niespodziewanie czuję w ciele nieprzyjemne gorąco i słabość, które szybko postępują. Łapie mnie także kaszel i zaczynają co raz targać mną silne dreszcze, po których oblewam się potem.

Zaniepokojony wychodzę w południe na pokład statku i wita mnie przygnębiający obraz. Kilku mężczyzn kołysze koszami z wydobywającym się z nich ciemnym dymem i zapachem spalanych ziół. Natomiast na deskach leżą ludzkie zwłoki, które zawijane są w białe płótna i oddawane morzu.

Tych ciał jest wiele, naprawdę wiele. I na ich widok odruchowo zakrywam usta. Już bowiem dociera do mnie, czego jestem świadkiem i co

staje się moim własnym udziałem. A utwierdza mnie w tym znany mi nieco ochrypły głos właściciela niewolników.

– Co za przekleństwo Bogów. – Zaciska gniewnie pięści. – Z ostatniej wyspy przywlekliśmy jakąś śmiertelną zarazę, zgroza...

– Wszyscy zarażeni umierają...? – pytam zamierającym głosem.

– Blisko połowa... – pada oschła odpowiedź. – Dlatego każdego, kto zostaje dotknięty chorobą, uśmiercamy na miejscu, aby nie roznosił tego plugastwa dalej – dodaje mężczyzna i krytycznie mi się przyglądając, dopytuje: – Czy Nail jest zdrowa? Bo na wspomnianej wyspie obsłużyła swym ciałem kilku niezbyt czystych klientów...

– Obsłużyła...? – powtarzam i z niesmakiem przełykam ślinę. A zaraz czuję na ramieniu wpijające się w nie palce mężczyzny.

– Pytałem, czy niewolnica jest zdrowa?! – powarkuje i zaraz rezolutnie oznajmia: – Zresztą sam sprawdzę. O towar trzeba dbać i nieustannie go doglądać. Zaprowadź mnie do niej.

– Ale...

– Żadnych, ale, natychmiast! W końcu ta chętna, niema suka należy do mnie! Nie zapominaj o tym...

W innych okolicznościach śmieć koło mnie pewnie zaraz znalazłby się za burtą. Jednak obecnie sam ledwo stoją na nogach. I nieprzyjemnie uświadamiam sobie, że z postępującą słabością ciała idzie słabość mego charakteru. Dlatego w trosce o własne życie potulnie odpowiadam:

– Zaprowadzę cię do niej... do Nail.

– Słuszna decyzja...

Wkrótce jesteśmy w mojej kajucie, gdzie naga dziewczyna śpi w najlepsze na koi przykryta kocem.

– Nail! To ja! Twój jedyny pan i władca, Zachar! – krzyczy do niej właściciel niewolników. W odpowiedzi dziewczyna zrywa się, jak w ukropie, zeskakuje na podłogę i przyjmuje pozycję na klęczkach z pokornie pochyloną głową. Z kolei przybyły ze mną mężczyzna dotyka ręką jej czoła. – Chłodne... – oświadcza obojętnie. Następnie przenosi swój dotyk na dziewczęcą pierś i wzgardliwie do mnie rzuca: – Wyjdź na chwilę, bo

ostatnio nieco zaniedbałem moją własność i zamierzam sobie przypomnieć, do czego ją zakupiłem...

– Ale...

– Ale co...?

– Zapłaciłem za nią... – mówię bez przekonania. Na co Zachar dobitnie zaznacza:

– Zapłaciłeś za towarzystwo, za towarzystwo... Nie zaś za wyłączność na nie... – Krzyżuje ze mną wzrok niczym oręż i srogo dodaje: – Dobrze ci radzę, przewietrz się, młodzieńcze, bo nie wyglądasz zbyt świeżo i gotów jestem wziąć cię za jednego z chorych, po czym w imię bezpieczeństwa ogółu wyrzucić za burtę...

Po tych słowach nic już nie odpowiadam. Spoglądam jedynie z boleścią na Nail, która jak zwykle świdruje mnie swymi czarnymi oczyma. A zaraz niemal wytaczam się ze słabości z kajuty i na korytarzu osuwam po ścianie na podłogę. Zalewa mnie gorączka, wiruje mi w głowie i zdaję się być na granicy utraty przytomności. Zasłaniam ręką usta przed kaszlem, to zaciskam uszy, by nie słyszeć zza drzwi miarowych stęknień mężczyzny. Aż dochodzi do mnie jego pełne ulgi westchnięcie, a wówczas chowam twarz w dłoniach i pozostaję w takiej pozycji do czasu, gdy właściciel niewolników mija mnie i niespiesznym krokiem powraca na górny pokład.

Tymczasem moja słabość niepokojąco się potęguje, aż ktoś pomaga mi wstać i wspierając się na jego ramieniu, docieram do swej koi. Kładę się na niej ciężko i znoszę paskudnym kaszlem. Następnie ktoś przemywa mi czoło mokrą tkaniną. Jak przez mgłę dostrzegam twarz Nail. Ukochaną, której nie obroniłem, a sam przywiodłem tu jej oprawcę.

Naraz czuję do siebie wstręt i jest mi naprawdę źle. Rzucam się w gorączce na posłaniu, zupełnie jakbym chciał się wyrwać z mego ciała, lecz co raz jestem silnie przytrzymywany.

Jawa miesza mi się ze snem i dopadają mnie dziwne majaki. Dostrzegam ludzkie istoty z aureolami i głowami zwierząt, które to postacie kroczą na czele nieprzeliczonych armii niezwykłych wojowników. Zan opowiadał mi o nich. Rozpoznaję Bogów Pendorum, moją siostrę Harremid i jej czterech braci, a także przeklęte istoty z Otchłani. Potem znowu widzę tylko Nail, którą z odpowiednio zastępują wizje płonących miast, rzezi i gwałtów. Aż

ogarnia mnie nieprzeniknione światło, które coraz bardziej gaśnie, po czym pozostaje wyłącznie otchłań, nieprzebrana ciemność i pustka.

Czuję to, jak me życie ulega i pokonuje je bezwzględna śmierć. Tak, śmierć ostatecznie zawsze zwycięża, tak mawiał mój ojciec. Dlatego tym bardziej cenne jest życie, istnienie, podczas którego możemy czegoś dokonać, czegoś wartościowego. Lecz, aby to ziścić, musimy pierw o to zawalczyć, czyniąc to ze wszystkich swoich sił.

Z tą myślą raptem chwytam kurczowo za dłoń siedzącej przy mnie Nail. Jej obraz wyostyra się przed mymi oczyma i jak natchniony mówię:

– Ochronię cię, już na zawsze. Wybacz mi, a ochronię cię... – Po tych słowach zapadam w długi, ozdrowieńczy sen.

W nadchodzące dni powoli dochodzę do siebie pod troskliwą opieką Nail i niebawem jestem już w stanie stanąć na nogi. Natomiast czas spędzany w pozycji leżącej tym razem umiła mi nie ponętne ciało kochanki, a nasze wspólne rozmowy. Chociaż podczas ich prowadzenia poruszamy i trudniejsze tematy.

– Wyspa Czarnego Piasku? Więc twierdzisz, że to stamtąd pochodzisz? – zapytuję z zainteresowaniem.

– „Tak” – gestykuluje Nail. – „Tak mówi mój właściciel”.

– I naprawdę nie pamiętasz żadnych swoich krewnych, żadnych bliskich?

– „Nikogo”.

– Zupełnie?

– „Odkąd pamiętam, był przy mnie tylko on, człowiek ze złotymi zębami, przepaską na oku i z batem, Zachar”.

– Wspominając go, czynisz swe gesty dość łagodnie... – zauważam ostrożnie. – A biorąc pod uwagę to, kim on dla ciebie jest... Nie czujesz do niego nienawiści, odrazy?

– „Nie”.

– Czemu?

– „Był dla mnie dobry, karmił i ubierał, jak ojciec”.

– Byłem świadkiem czegoś... innego... – Na wspomnienie zdarzenia w tej kajucie załamuje mi się głos. – Tak nie postępuje ojciec...

– „Nie” – zgadza się Nail. – „Ale nie zawsze tak było”.

– Zanim dojrzałaś?

– „Tak”.

– Wtedy wszystko się zmieniło?

– „Owszem, zaczął na mnie zarabiać. Wiesz jak. I sam zaczął mi to robić” – mówiąc to, dziewczyna cały czas hardo spogląda mi w oczy.

– I nie czujesz wstydu... przez to, cię spotyka...? – zapytuję sam nieco nieśmiało. Na co Nail gestykuje, jak zwykle zdawkowo:

– „Nie, nie czuję wstydu”

– Ponieważ...?

– „Tak po prostu, to moja normalność”. – Wzrusza ramionami.

– Rozumiem...

– „Czyżby”?

– Sam nie wiem... – koryguję wypowiedź i staram się skierować naszą rozmowę w inną stronę, poruszając kluczową dla mnie kwestię: – Czy... czy chciałabyś opuścić Zachara i związać swoją przyszłość z kimś innym... na przykład ze mną?

– „I kim miałabym przy tobie być”?

– Kim zechcesz... – odpowiadam rezolutnie. Nail kręci przecząco głową i zdecydowanie gestykuje:

– „Jestem niewolnicą, ty człowiekiem wolnym. Lecz ja nie należę do ciebie i nie będę, bo Zachar mnie nie sprzeda. Dlatego nasze drogi niebawem się rozejdą”.

– Nie musi tak być. – Chwytam Nail za rękę. – Moja matka też była swego czasu niewolnicą, a potem okazało się, że... – urywam zdanie i puszczam dłoń.

– „Tak”? – ciekawi się Nail.

– Nie uwierzyłabyś. Nie teraz – oznajmiam łagodnie.

– „Przekonajmy się. Jestem ciekawa twojej rodziny, przyjaciół, znajomych. Posiadasz ich na Pendorum dokąd zmierzamy”? – Dziewczyna zdradza raptem nietypowe dla siebie zainteresowanie, zupełnie jakby ta wiedza była jej nagle do czegoś potrzebna. Nachyla się nade mną i kusząco całuje w usta i można by pomyśleć, że tym sposobem chce z nich wydobyć odpowiedź. I rzeczywiście ten pocałunek sprawia, że niczego nie mogę jej odmówić.

– Nie mam nikogo, kogo bym znał na kontynencie, do którego się zbliżamy, rodziny czy też przyjaciół. Ale za to jestem synem boskiej Anrei – oświadczam swobodnie, zupełni jakby moje boskie pochodzenie było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem i w takim tonie kontynuuję: – Obecnie natomiast wyruszyłem do Pendorum, aby zasiąść na należnym mi tronie imperatora i niepodzielnie władać zjednoczoną krainą.

Na te słowa Nail przygląda mi się dłuższy czas, tłumiąc dłonią uśmiech na ustach, po czym szczerząc się szeroko, czochra mi zawadiacko włosy na głowie. Następnie wstaje i wychodzi z kajuty.

– Czeka! – rzucam za nią również roześmiany. – Oto rozkazuje ci twój imperator! Czeka!

– „Zaraz wracam” – gestykułuje w progu Nail. – „Chyba słyszałam dzwonek obwieszający nowy ląd i idę zobaczyć, dokąd dopływamy”.

– Zatem sprawdź! Tylko wróć! – krzyczę i już sam do siebie tęsknie dodaję: – Tylko wróć, proszę...

Wkrótce Nail powraca i przynosi ze sobą ważne nowiny:

– „Dopływamy do brzegów Pendorum”.

– Do Pendorum?! – Siadam ożywiony i pospiesznie zaczynam się ubierać, przywdziewając również mój różnorodny oręż, a jednocześnie podekscytowany mówię: – Więc jeszcze dziś postawię stopę na mojej ziemi, doskonale. A... – Spoglądam na Nail. – Czy wiadome ci jest, do jakiego miasta i władztwa dopływamy?

– „Tak, ale nie potrafię tego przekazać gestami. Jednak mój właściciel też będzie wiedział” – Dziewczyna wskazuje ręką na górny pokład. Sam na chwilę tonuję emocje, wspominając, że Nail nie jest osobą wolną. Lecz zaraz okraszam twarz szerokim uśmiechem, radośnie oznajmiając:

– Oddam ostatnią monetę, a nawet własne gacie, aby cię wykupić z niewoli. Słowem idę negocjować z Zacharem! – Na te słowa Nail spogląda na mnie bez wiary, jakby mi nie ufała albo też problem leżał gdzie indziej. Ja zaś, niezrażony, zbywam obojętnie te chłodne spojrzenie i z pasją z siebie wyrzucam: – Nie pozwolę, rozumiesz?! Nie pozwolę, aby na te ukochane przeze mnie dłonie, twoje dłonie, zawitały znowu żelazne kajdany! – I zaraz z powagą grobowym tonem dodaję: – Już prędzej będę gotowy zabić...

Nie mija wiele czasu, a wspólnie z Nail meldujemy się na górnym pokładzie. Dzień jest jasny, przejrzysty i doświadczamy orzeźwiającej morskiej bryzy. Przysłaniając ręką czoło, wpatruję się w daleki horyzont, na którym niewyraźnie maluje się zarys brzegu i przemawiam do właściciela niewolników:

– Dokąd konkretnie dobijamy w Pendorum?

Zachar udziela dokładnej odpowiedzi, oświadczając:

– Kilka dni temu przebyliśmy nowo wykopany kanał do wewnętrznego morza kontynentu, które oddziela Otchłań od cywilizowanego lądu. Zmierzamy oczywiście na ten drugi, a ściślej do miasta Rakus ostatnio we władaniu imperium Pendorum.

– Imperium! Pendorum! – wyrzucam z siebie z nieskrywanym zachwytem. Ze słów Zachara wynika bowiem, że od opuszczenia krainy przez moją matkę jej władztwo przetrwało, a nawet więcej, powiększyło swe włości! Czy może już w ogóle niepodzielnie panuje na kontynencie?

Na tę ostatnią myśl mam wręcz ochotę skoczyć pomiędzy morskie fale, aby popłynąć wpław i czym prędzej przekonać się, co też zastanę na lądzie. Lecz nieoczekiwanie na moim karku ląduje metalowa obręcz z łańcuchem, która zamyka się z chrzęstem. Podobnie żelazne bransolety wkładane mi są na ręce i nogi, a kilku pomocników Zachara rozbiera mnie, zabierając mi miecze i noże.

– Co to ma znaczyć?! – Spoglądam z ogniem w oczach na właściciela niewolników, obnażając gniewnie zęby i szarpiąc za więzący mnie łańcuch.

– Jedynie to... – odpowiada drwiąco Zachar. – Że właśnie dołączasz do mojej trzódki... – Patrzy swoim jedynym okiem na siedzących w pewnej odległości przy burcie skutych niewolników.

– Kiedy... Ja jestem wolnym człowiekiem! – krzyczę z przekonaniem w porywającym mnie gniewie przytrzymywany za ramiona przez dwóch oprychów.

– Byłeś wolny... – koryguje Zachar i wyjaśnia: – I mógłbyś być dalej wolnym człowiekiem, gdybyś na kontynencie Pendorum miał rodzinę czy przyjaciół, słowem kogokolwiek, kto mógłby za twój status poręczyć. A tak... – Rozkłada bezradnie ramiona i wydyma dolną wargę. – Nikt nie będzie cię szukał i nikt po tobie nie zapłacze. Dlatego niniejszym cię sobie przywłaszczam...

– Chcę rozmawiać z kapitanem tego statku! – Nie daję za wygraną.

– Ależ rozmawiasz, właśnie rozmawiasz... Ponieważ masz go przed sobą w mojej osobie... – Mężczyzna kpiąco puszcza mi oko. Na co sam zdaję się na desperacką próbę, bezczelnie kłamiąc:

– Rodzina i przyjaciele. Mam ich w bród w krainie Pednorum, całe zastępy! Niech no oni się tylko dowiedzą, ja się ze mną obszedłeś, bydlaku, a niechybnie zginiesz!

– Rodzina, przyjaciele...?

– A tak! – rzucam wyzywająco, aż z kipiącą pianą na ustach.

– Cóż... – Zachar obejmuje czule ramieniem Nail i lekceważąco oznajmia: – Otóż moja wierna niewolnica twierdzi coś zgoła odmiennego. Mianowicie, że jesteś tu sam jak palec, oraz że jesteś szaleńcem podającym się za boskiego dziedzica...

Wobec tego wyznania naraz całkiem pokornieję. Uchodzi ze mnie waleczny nastrój i cierpiętniczo spoglądam na ukochaną dziewczynę, a jak się okazuje dwulicową zdrajczynię naszego uczucia. Ta tradycyjnie hardo patrzy mi w oczy i najwyraźniej nie wstydzi się swego podłego wybiegu, który łamie mi serce na tysiąc kawałków, a na ciało zakłada niewolnicze łańcuchy.

– Nail... – szepczę zrezygnowany ze szczerym bólem.

– Dość tego – ucina me utyskiwania Zachar i wskazując na mnie, zwraca się do swych ludzi. – Opróżnijcie mu kieszenie, tylko dokładnie i przykujcie do pozostałych. Niedługo przybijamy do portu.

– Zaraz – odzywam się grobowym tonem.

– Czego jeszcze? – pyta już wyraźnie zniecierpliwiony właściciel niewolników. Z kolei ja właśnie odnajduję się w nowej sytuacji i myśląc o mej matce, czynię to, co muszę w tej sytuacji uczynić. Wspominam z opowieści Zana to, jak Anrea gardziła niewolnictwem i po swym wyzwoleniu za nic nie dała się już zniewolić. A więc ja, jej syn, także nie poddam się kajdanom, przenigdy!

Całuję dwa palce i spoglądając na nie, wznoszę je wysoko ku błękitnym niebiosom. To ostatni hołd, jaki oddaję mej boskiej matce. Niech chociaż raz będzie dumna ze swego syna, gdziekolwiek teraz jest i cokolwiek czyni.

– Co to za przedstawienie...? – rzuca leniwie Zachar. Ja sam raptownie kieruję na niego wzrok i uśmiechając się kąśliwie, cedzę przez zęby:

– Czas podnieść kurtynę i zacząć spektakl specjalnie dla ciebie... A więc patrz i płacz!

Złączone palce opuszczam błyskawicznym ruchem i niczym sztylet wbijam z impetem w jedyne oko Zachara. Na pokładzie rozlega się potępieńcze wycie. W tej samej chwili uderzam łokciem w twarz jednego z trzymających mnie zbirów, drugiemu miażdżę nos własnym czołem i tak oto zostaję częściowo oswobodzony.

Chwytam oburącz leżący na pokładowych deskach mój długi miecz i natychmiast szatkuję najbliższych wrogów. Jednemu rozcinam pachwinę, a kolejnemu gardło. Trzeciemu udaje mi się rozplatać czaszkę, zaś ostatni pada z mym ostrzem w swych trzewiach.

Wyjmuję z cudzego brzucha zakrwawiony miecz, po czym staję przed niezmiennie poważną Nail. Uśmiecham się do niej krzywo i opuszczam ostrze. Jej przecież nie skrzywdzę, czegokolwiek by nie uczyniła. Ona wodzi wzrokiem po mnie, jakby mnie oceniając, to po zwijającym się na pokładowych deskach Zacharze. Aż raptem porywa się do tego ostatniego i zdaje się go obejmować.

Spoglądam na tę scenę z prawdziwym niesmakiem. Gdy wtem zauważam, że dziewczyna wyszarpuje swemu właścicielowi pęk kluczy i rzuca się z nimi do skutych niewolników.

W reakcji na tę kaskadę zdarzeń kręcę z niedowierzaniem głową i patrzę za Nail z mieszanką uczuć, gdzie pierwotne uwielbienie oraz późniejszą niechęć obecnie zastępuje autentyczny podziw.

Następnie z kajdanami na kostkach czynię niezdarny krok do tyłu i szczerząc gniewnie zęby, staję w gotowości. A czynię to, ponieważ spod pokładu wychodzi ku mnie cała armia uzbrojonych w szable i żerdzie piratów.

Ci z drzewcową bronią na wzór włóczni próbują dosięgnąć mnie ostrymi hakami, czyniąc ku mnie gwałtowne wymachy. Ja sam, ze skrępowanymi nogami, nie mam jak do nich podskoczyć, przez co otrzymuję kilka niegroźnych razów w tors i ciągle się cofam ku burcie. A towarzyszy mi wściekły głos oślepiętego Zachara.

– Brać ścierwo żywcem! Nie może zginąć, zanim nie zazna tygodni katuszy i tortur!

Nagle dostaję głębszą ranę w przedramię i kolejną w udo. Z boleścią klękam na jedno kolano, a wtedy piraci rzucają się na mnie hurtem. Zamaszystym ruchem miecza jednemu odcinam niemal nogę na wysokości łydki. Ten pada z krzykiem na deski, pociągając za sobą kilku kamratów. Mierzę w nich z góry mieczem, lecz zanim zdołam zadać skuteczny cios, pozostali dopadają mnie i raptem sypią się na mnie kopniaki i uderzenia rękojęściami szabli.

Potem rozbrojonego, posiniaczonego i ociekającego krwią, stawiają mnie przy burcie. I choć od doznanych ran i osłabienia po chorobie ledwo trzymam się na nogach, to mocno unieruchamia mnie teraz aż sześciu mężczyzn.

Siódmy z nich, Zachar, podchodzi do mnie z krwawą opaską w miejscu zmiążdżonego oka i po omacku dotyka mnie rękoma. Trafia na klatkę piersiową i dalej kieruje dłonie na moją twarz, aż kładzie palce na oczach, po czym gniewnie warczy:

– Żałuj, że nie zginąłeś, głupcze... Bo zaraz poczujesz, co to prawdziwe cierpienie, którego doświadczysz całym sobą... Tak, odpłacę ci pięknym za nadobne zawiązką...

Czuję coraz mocniejszy nacisk opuszków palców Zachara na gałkach ocznych. W ogarniającej mnie trwodze rzucam się raz i drugi, aby się uwolnić, ale czynię to bezskutecznie. Natomiast nacisk staje się coraz mocniejszy, aż twarz wykrzywia mi grymas bólu. Odnoszę koszarne wrażenie, że moje oczy zaraz pękną, zapadając się w siebie!

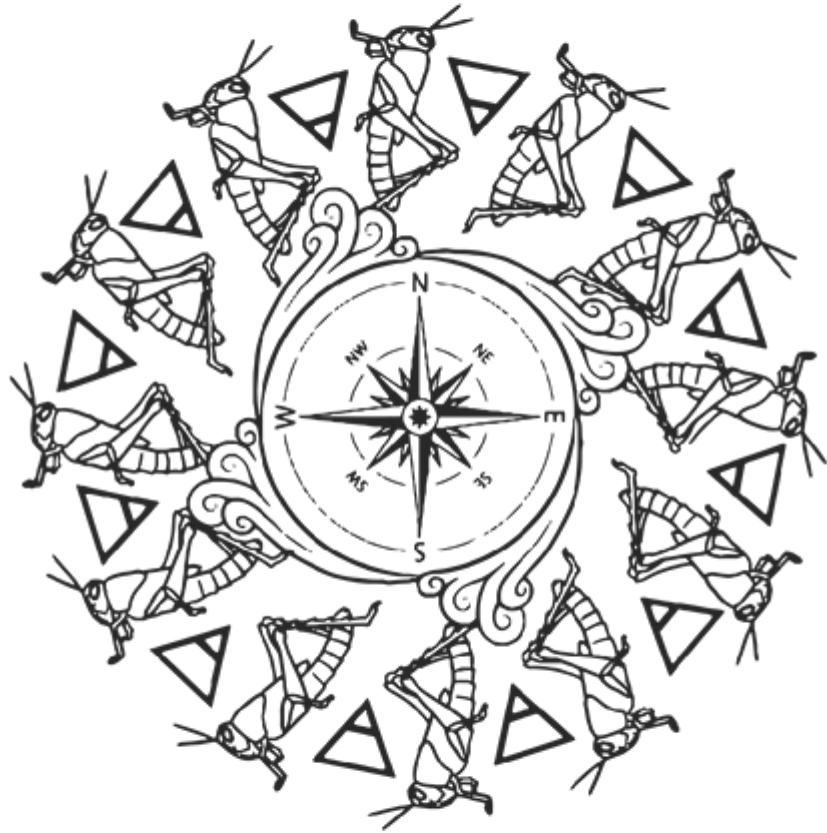
Gdy wtem z boku dochodzi hałas i jakby odgłosy walki, a zaraz dłoń Zachara opuszcza moją twarz. Zajmuje mi dłuższą chwilę, zanim mogę otworzyć oczy bez bólu i uzyskać ostrość widzenia. A wtedy ukazuje mi się uzbrojona w moje krótkie miecze Nail, która walczy na czele uwolnionych niewolników z grupą kilkunastu piratów.

Z trudem dochodząc do siebie, widzę, jak dziewczyna całkiem sprawnie rozcina torsy i trzewia przeciwników, czyniąc przy tym dzikie grymasy twarzy. Zauważam, że w tej zażartej walce trup gęsto pada po obu stronach. I sam pragnąłbym się włączyć do tej batalii, tym bardziej, że jej centrum coraz bardziej przesuwa się w moją stronę.

Jednak nagle otrzymuję silne uderzenie w głowę. Zaraz potem ktoś na mnie napiera, przepycha za burtę i lecę bezwładnie prosto do wody. Zaś w morskiej otchłani tonę, bowiem ciężkie, żelazne kajdany na rękach i nogach oraz obroża na szyi sprawiają, że nie jestem w stanie skutecznie utrzymać się na powierzchni.

Coraz głębiej osuwam się w ciemniejszą wodę, aż naraz ktoś łapie mnie za plecy i zaczyna holować. Czyni to w tej samej chwili, kiedy nie wystarcza mi już powietrza i gwałtownie wypełniam sobie płuca wodą. Przez to zaraz opuszcza mnie także świadomość. A ostatnim, co rejestrują moje zamierające zmysły, jest mętna wizja jakiegoś grubasa w głębinach, którego chwytą od tyłu drobna, ruda dziewczyna.

Odzyskuję przytomność, leżąc na piaszczystej plaży, obmywany z lekka morskimi falami. Nie mam już na sobie niewolących mnie kajdan ani obroży, a towarzyszy mi siedząca przy mnie Nail. Niema dziewczyna, która mnie najwyraźniej ratuje, a której prawdziwych intencji oraz poczynań ciągle nie mogę do końca zrozumieć.



III. IMPERIUM

W pobliżu miasta Rakus, lekko krwawiąc z doznanych ran, kroczę z Nail twardo ubitą, ciemną drogą pomiędzy dwoma szpalerami zielonej trawy. Od mego ocucenia na plaży jeszcze nie rozmawialiśmy, ale w końcu decyduję się przerwać ten impas, zapytując:

– Dlaczego, Nail...?

– „Co, dlaczego”? – gestykuje dziewczyna, nawet na mnie nie spoglądając. Na co szeroko rozpościeram ramiona i pretensjonalnie z siebie wyrzucam:

– To wszystko, Nail, to wszystko! Dlaczego kochając się ze mną, sprawiałaś wrażenie, jakbyś naprawdę coś do mnie czuła, jakby ci na mnie zależało? Czemu wykorzystawałaś moje słowa i sprzedałaś mnie Zacharowi? A wreszcie, co ci strzeliło do głowy, aby nagle wszcząć bunt na pokładzie i w decydującym momencie porzucić walkę, by mnie ratować? Nie pojmuję tego!

– „Ja też nie. Nie do końca rozumiem siebie”.

– Siebie, czyli właściwie kogo?! – krzyczę z pretensją.

– „Nie wiem”.

– Nie wiesz, właśnie... i dlatego nie mogę ci ufać... – stwierdzam z dezaprobatą.

– „Nie możesz. Nikt nie może ufać nawet samemu sobie”.

– To chyba prawda – potwierdzam przekaz dziewczyny, który pozwala trzymać mi ją na dystans i robić kolejne wyrzuty. Jednak odkrywam, że wcale nie czuję się z tym lepiej, a wręcz przeciwnie i dla odmiany zdecydowanie łagodzę ton, oświadczając: – Lecz w tym całym chaosie, za kilka rzeczy naprawdę ci dziękuję... – Spoglądam na Nail z pewnym uczuciem. – Dziękuję ci za chwile spędzone przy tobie i bliskość przy mnie

zarówno twego ducha, jak i ciała. Jak również składam szczerą podziękę za uratowanie życia w wodnej toni...

– „Ja również coś ci zawdzięczam” – gestykuluje na to Nail.

– Naprawdę...? – Jestem mile zaskoczony.

– „Tak. Jak zaznaczyłam, nie wiem, kim jestem, nie czuję tego. Ale sprawiłeś, że w pewien sposób, chociaż po części siebie odkryłam”.

– To znaczy...? – zachęcam, by rozwinęła myśli.

– „Postawiłeś się Zacharowi, mając kajdany na ciele, to było niezwykle, takie inne. Walczyłeś o wolność, nie bacząc na ryzyko kary i śmierci. I niemal cudownie sprawiłeś, że Zachar oślepnął”.

– Włożyłem mu palce w jedyne oko...

– „Tak. Od zawsze spoglądał on na mnie swym okiem niczym na swoją rzecz i nagle uwolniłeś mnie od tego spojrzenia. To mnie na swój sposób wyzwoliło i sama inaczej popatrzyłam na świat. Nie jako narzędzie do realizacji cudzych potrzeb, niewolnica. Oto odkryłam własne pragnienie”.

– Którym jest...?

– „To zew wolności, on zaczął we mnie grać” – Pokazuje na swe nadgarstki wolne od kajdan. – „I ty to sprawiłaś, że stałam się gotowa o tę wolność zawalczyć. I potem dalej walczyłam”.

– Tym razem o moje życie...

– „Tak”.

Po tym wyznaniu zatrzymuję się i mocno obejmuję Nail. Ona, mimo że sama nie tuli się do mnie, to również nie odpycha. A zaraz szepczę jej do ucha:

– Kto wygrał na statku? Niewolnicy czy może piraci...?

– „Nie wiem” – gestykuluje i patrzy w kierunku morza: – „Statek odpłynął, nie przybijając do Rakus, ale wierzę, że jeszcze powróci i to bez piratów”.

– Kiedy?

– „Za pewien czas... Ale teraz pragnę się dowiedzieć czy mówiłeś prawdę o tym, że masz prawo do korony w tej krainie. Bo nie wyglądasz na kłamcę i jest coś dziwnego w twoich oczach jak magia”.

– Spokojnie, nie zawiodę cię... – Uśmiecham się i próbuję pocałować Nail w usta. Lecz ona czyni unik i trafiam wargami na jej policzek. Następnie kontynuujemy naszą podróż.

U bram miasta Rakus zaczepiam wyjeżdżającego stąd kupca na wozie i zapytuję go, dokąd podąży. Jakże wielkie jest moje zdumienie, a zarazem radość, gdy dowiaduję się, że zmierza do serca imperium, czyli twierdzy Skalnej Wieży.

Wobec tego za kilka monet udaje mi się uzyskać miejsce na wozie dla mnie oraz Nail. Zakupuję również dla nas nowe ubrania. Natomiast podczas ciągnącej się kilka dni podróży nieustannie wypytuję kupca o wieści z kontynentu Pendorum.

Okazuje się, że po wielkiej bitwie i śmierci cesarzowej Tiry na kontynencie zapadł długotrwały rozejm. Nowi połączeni wspólną krwią władcy Razzinal, Saladior, Faviers oraz Precis powrócili na czele resztek swych wojsk do pierwotnych siedzib. Zaś w cesarstwie Terraticos nastąpiła regencja, a po uzyskaniu pełnoletności do niedawna władała tam córka cesarzowej Tiry. Z kolei na tronie imperium Pendorum zasiadł palatyn Exon z żoną Kalillą u boku.

Na te ostatnie wieści uśmiecham się szczerze, bowiem wspomnianą parę osób mam niemal za swoje wujostwo i w pewnym sensie ich znam z opowieści Zana. Ponoć byli to wierni towarzysze bez reszty oddani mej matce. Liczę więc, że przywitają mnie jako prawowitego władcę imperium, a sami zrzekną się władzy.

Tymczasem w toku dalszych opowieści kupca dowiaduję się, że przybywam na kontynent w momencie, kiedy następuje tu kres sielanki. Otóż poinformowany zostaję, że ojcem dzieci Tiry okazał się nie kto inny, jak sam Bóg Abezzal. Z tego powodu wspomniane dzieci posiadają w sobie boski pierwiastek i z czasem zaczęły żądać dla siebie pełnej czci i oddania w miejsce dotychczasowych Bogów Pendorum. Ci jednak nie pozostali bierni i poprzysięgli zrzucenie z piedestału dzieci Abezzala oraz Tiry, w ich mniemaniu boskich uzurpatorów. I tak oto, niespodziewanie, na nadbrzeże cesarstwa Terraticos przybył z okrętami sam Bóg Arezar w przybranej, fizycznej postaci, a uczynił to na czele nieprzeliczonej armii Legionów Śmierci. W wyniku najazdu cesarstwo upadło i od tego czasu całkowicie

oddane zostało we władanie wspomnianego Boga. Natomiast korzystając z chaosu, imperator Exon zajął zbrojnie miasto Rakus należące aż do tej pory do cesarstwa. Ponadto wieści głoszą, że także pozostałe dzieci Abezzalla oraz Anrei zawierają demoniczne pakt z istotami z Otchłani, aby na ich czele najechać inne władztwa Pendorum. Tą drogą ludzkość na całym kontynencie wstrzymuje oddech przed spodziewanym, nadchodzącym kataklizmem.

Po wysłuchaniu tych wieści już wiem, że moja droga do absolutnego panowania na kontynencie Pendorum nie będzie ani łatwa, ani bezkrwawa. A być może w ogóle niemożliwa, skoro już na początku mej misji niemal tracę życie z rąk piratów, a ratuje mnie niema niewolnica. Tak czy inaczej, mój dotychczasowy entuzjazm zdecydowanie przygasa, a zastępują go wątpliwości. Dlatego czym prędzej pragnę rozmówić się z Exonem. Liczę, że wspólnie stworzymy plan, jak zapanować nad rozprzestrzeniającym się w Pendorum chaosem.

Przemierzywszy w kupieckim kondukcie drogę usłaną dojrzewającymi łanami zbóż, sadami i bujnymi łąkami, docieram przed bramy okazałego zamku wyrastającego z litej skały. To ponoć właśnie w tym miejscu zapoczątkowana została przez moją matkę kolebka imperium Pendorum. Tutaj miało ono swój początek, a skoro tak niech to miejsce i dla mnie stanie się nowym początkiem.

Myśląc tak, przekraczam bramy zamku. Żegnam się uprzejmie z towarzyszącym mi do tej pory kupcem, który przywozi do zamku zapasy. Sam udaję się z Nail do najbliższego strażnika i przedstawiam mu samego siebie oraz swoje żądanie – pragnę czym prędzej zobaczyć się z imperatorem. Zbrojny mężczyzna mierzy mnie krytycznym wzrokiem i coś szepcze do ucha kompana. Wyraźnie ociąga się, lecz co raz ponawiam naciski, aż wreszcie strażnik kieruje się do wewnętrznych zabudowań twierdzy. Znika mi na dłuższy czas z oczu, a wtedy rozglądam się wokół.

Z zadowoleniem dostrzegam powiewające na wietrze proporce – dziesięć trupich czaszek na białym tle. Gdzie niegdzie widzę trenujących walkę młodzików, odpoczywających rycerzy, a czasem kogoś ze służby z wiadrami pełnymi wody, albo niosących wiązki słomy do stajni.

Ten widok w jakiś sposób działa na mnie krzepiąco. Wydaje się bowiem, że życie toczy się tutaj spokojnie według od dawna ustalonych reguł. A równocześnie są to reguły tak inne od tych, jakie pamiętam z mojego domu, wyspy bez nazwy. Zauważam tu ścisłą hierarchię i daje się czuć nadrzędną władzę. Myślę, że takiego miejsca sam jestem godzien i przybywam do świata, który niebawem będę mógł nazwać moim.

W końcu strażnik powraca w towarzystwie jeszcze dwójki zbrojnych i ruchem ręki zaprasza mnie oraz Nail do wewnętrznych zabudowań. Kroczymy ciemnymi, niewyszukanymi korytarzami, aż trafiamy do obszernej, prostokątnej sali z wysokimi oknami. Nie znajduje się tutaj dosłownie nic innego oprócz płonących pochodni na ścianach i dwóch tronów u szczytu komnaty. Dostrzegam tam zasiadających mężczyzn oraz kobietę.

Uśmiecham się na ich widok i rażno ruszam do przodu. Lecz tuż przed obliczem obecnych władców imperium, zostaję do tego stopnia silnie pchnięty w plecy, że padam kolanami na posadzkę. Zaś tuż przede mną krzyżują się dwie halabardy. Krzywię się na ten widok i z dezaprobatą kiwam głową. A zaraz w przestrzeni rozlega się męski, tubalny głos zasiadającego na tronie mężczyzny:

– Zatem podajesz się, wędrowcze imieniem Avezan, za... – ucina zdanie i spogląda kwaśno na kobietę na drugim tronie, po czym smętnie kontynuuje: – Mienisz się więc synem zmarłej, według ciebie... przed dwudziestu jeden laty, mitycznej Anrei wychowanym na wyspie bez nazwy... Zaś twoim ojcem miałyby być niejaki Zan... rycerz Arezara...

– Tak – odpowiadam dumnie i przyglądam się memu rozmówcy. To człowiek w sile wieku w eleganckich biało-czarnych szatach podszytych futrem. Przy pasie dzierży miecz, a głowę zdobi mu srebrna korona. Następnie przenoszę wzrok na postać z boku, która jest niewątpliwie znaną mi z opowieści Kalillą. To dojrzała kobieta wciąż zachowująca znaczącą urodę. Włosy ma bardzo jasne, proste i długie, twarz szczupłą i naznaczoną wielką powagą. Jej suknia jest w kolorze bieli i poprzesywana złotymi nićmi, a skronie władczyni wieńczy srebrny diadem. I to ona zabiera teraz głos:

– Założmy, iż rzeczywiście jesteś tym, za kogo się podajesz, a nie wędrownym błaznem... Czy możesz swoje pochodzenie w jakiś... w jakikolwiek sposób udowodnić...?

– Myślę, że tak – oznajmiam z przekonaniem i wyjmuję zza paska cienką, poplamioną książkę. – To Traktaty Etosa – stwierdzam. – Obok krótkich mieczy, które niedawno utraciłem... to jedyna pamiątka po mojej matce. Choć mam jeszcze to... – Otwieram książkę mniej więcej w połowie, gdzie za zakładkę służy przewiązany w warkoczyk pukiel rudych, kobiecych włosów.

– Więc to prawda...? – mówi naraz z przejęciem Kalilla, składając dłoń na piersi. – Anrea umarła i to lata temu...? – dodaje z pewnym bólem, po czym wskazuje strażnikom, aby zabrali sprzed mego oblicza halabardy i przyzywa mnie do siebie. Staję naprzeciw niej, a ona odbiera z mych dłoni Traktaty Etosa. Potem, uśmiechając się kwaśno, spogląda na Exona i rozciera między palcami rudy warkoczyk.

– Czy teraz mi wierzycie? – zapytuję, zadzierając głowę.

– Spójrz mi w oczy – oświadcza twardo Exon. Czynię to, a wtedy władca imperium po chwili namysłu stwierdza: – Masz urodę po matce oraz to coś... w oczach... – Przenosi wzrok na Kalillę i kiwa jej z lekka głową. Na co kobieta wygląda za moją sylwetkę i ogniskując wzrok na Nail, łagodnie zapytuje:

– Czy to twoja żona, z którą tu przybywasz?

– Jeszcze nie jest to moja małżonka – odpowiadam swobodnie i w tym samym duchu dodaję: – Ale jest to postać niezwykle bliska memu sercu, którą z radością uczynię panią imperator Pendorum! – Odwracam się do niezmiennie poważnej Nail i mrugam jej okiem. Lecz gdy ponownie spoglądam na parę na tronach, dostrzegam, że mym wyznaniem gaszę pogodę ducha obecnych tu władców. Kalilla, jakby raptem strapiona patrzy w zadumie na swój srebrny pierścień na palcu. Natomiast Exon odchrząkuje w dłoń i dostojnie wszem i wobec oświadcza:

– Zarówno o przeszłości, jak i o tym, co dalej będzie nam dane począć... porozmawiamy wspólnie przy biesiadnym stole. Zatem uroczyście zapraszam przybyłych do nas gości na rychłą wieczerzę. Teraz z kolei niech służba odpowiednio ich ugości w należnych ku temu komnatach.

Po tej deklaracji kłaniam się lekko i już wkrótce jestem z Nail w naszym nowym lokum. To miejsce jest dla mnie niczym pomieszczenie dla samego imperatora pełne eleganckich mebli z zasłanym błękitną narzutą łóżkiem, stołem z obrusem i rzeźbionymi krzesłami.

Ja jednak skupiam się niemal wyłącznie na Nail. Próbuję odgadnąć, jak się czuje w tym nowym miejscu, a także jak teraz będzie mnie traktować, kiedy wychodzi na to, że cały czas mówiłem jej jedynie prawdę i oto stoi przed nią sam przyszły imperator. Czy zaraz będzie mi się kłaniać, usłużnie całować po dłoniach...?

Jednakże ona niezmiennie demonstruje powagę i kolejno ogląda meble w pokoju. Gładzi je dłońmi i wodzi po nich uważnym wzrokiem, jakby szacując wartość. Aż w końcu zniecierpliwiony chwytam ją wpół i zmuszam, aby spojrzała mi w oczy. Czyni to, a wtedy próbuję ją pocałować. Ona przekrzywia swoją twarz tak, że moje usta znowu w ostatnim czasie lądują na jej policzku. A zaraz zręcznie wyrывa mi się i staje pod ścianą. Spogląda chwilę na zdobny, żółty dywan na podłodze, po czym zdecydowanie do mnie gestykuluje:

– „Uciekaj stąd”.

– Ale... niby czemu...? – zapytuję na dobre zbity z tropu, bezradnie rozkładając ręce. Na co Nail wskazuje na kunsztownie zdobione meble i wyjaśnia:

– „Jeżeli naprawdę jesteś prawowitym władcą tego imperium, to jesteś tutaj zgubiony. Ponieważ nikt kto posiada takie bogactwo, nie zrzeknie się go po dobroci”.

– Jednak... – Czuję się raptem trochę niepewnie. – Jestem tu przecież wśród przyjaciół, nieprawdaż...?

– „Tak, ale nie twoich, a twojej matki”.

– Mimo wszystko... – Kręcę przecząco głową, nie mogąc zaakceptować sugestii Nail. Ona nie ustępuje:

– „Jeżeli tu zostaniesz, to zginiesz, zginiesz jak głupiec, dla władzy i za nią”.

W odpowiedzi spoglądam na dziewczynę coraz bardziej zafrapowany. I z jednej strony naraz rozumiem już jej obawy, ale z drugiej nie mogę, po

prostu nie mogę ich zaakceptować, jako możliwej prawdy.

Aż w coraz bardziej niezręcznej sytuacji z pomocą przychodzi pukanie do drzwi. A wobec zaproszenia do środka, do komnaty wkracza lokaj i zaprasza nas na przygotowaną już wieczerzę. Podaję Nail dłoń, niejako nie pozostawiając jej wyboru. I tak oto idziemy wspólnie, aby się przekonać, jaki naprawdę zamysł względem mnie mają obecni władcy imperium Pendorum.

W niezbyt dużej sali w kolorze ciemnej szarości stoi podłużny stół, a po jego dwóch odległych krańcach zasiadają na fotelach Exon oraz Kalilla. Ja sam z Nail zajmujemy miejsca przy środkowej części stołu na krzesłach tuż koło siebie. Następnie odganiam zdecydowanym ruchem ręki krzątających się wokół nas lokajów i samodzielnie biorę z rozstawionych tac co tłustsze kawałki pieczonego mięsiwa. Ponadto stawiam koło mego półmiska dzban wina. I nieskrępowany, nie czekając na zaproszenie, jak na przyszłego władcę przystało, już zaczynam się wgrzyzać w pieczeń, chyba z bażanta, zachęcając do skosztowania smakołyków również Nail. Łapię się na tym, że zamierzam zażartować, iż pożywienie zapewne nie zostało podstępnie zatrute, gdy naraz Exon odchrząkuje w dłoń i dostojnie przemawia:

– Jedzcie i pijcie do woli. Akurat dziczyzny z allearskich lasów i wina z naszych winnic jest u nas pod dostatkiem...

– Zdrowie mojej matki, mitycznej Anrei! – mówię niedbale z pełnymi ustami i nalewam sobie oraz Nail pełen puchar czerwonego trunku.

– Zdrowie... – odpowiada łagodnie Kalilla i delikatnie zamacza usta w swoim kielichu. Odstawia go na stół, a jeden ze sług natychmiast wyciera obwódkę pucharu białą tkaniną. W tym czasie moje ręce całe już lepią się od połyskującego tłuszczu. Zaś w przestrzeni daje się słyszeć dźwięk łamanych przeze mnie kości, z których namiętnie wysysam pożywny szpik.

– Taaak... – dobiega do mnie leniwy głos Exona. – Widzę, żeście spragnieni i głodni po podróży, to dobrze, bardzo dobrze... – Sam jakby od niechcenia z wolna dziobie srebrnym widelcem własną pieczeń podaną mu właśnie na talerz i zaraz zapytuje: – Jak się miewa Zan, rycerz Arezara...?

– Doskonale! – Robię sobie dokładkę z pieczonego udźca z dzika. – Mój ojciec broni wioski na wyspie bez nazwy, choć od lat nikt jej nie atakuje.

– A czemuż to...? – zapytuje kurtuazyjnie Exon. Osobiście swobodnie zaspokajam jego ciekawość:

– Jeszcze za życia mojej matki wioska doczekała się licznych łupieskich najazdów. Ponoć jakiś herszt piratów chciał uczynić z wyspy swą główną kryjówkę i bazę wypadową. Jednakże Anrea z Zanem raz za razem, tylko we dwójkę, zgotowali najeźdźcom krwawą łaźnię. I wsławili się swą brawurową walką do tego stopnia, że wszelkie męty zaczęły omijać wyspę bez nazwy i... tak już pozostało.

– To do niej podobne, Anrei... – oznajmia sennie Kalilla. A wobec gestu lokaja, który pragnie podać jej jadło, sama czyni ruch dłonią, aby się wstrzymał. Następnie kobieta zwraca się do Nail: – Ty natomiast, młoda damo, również pochodzisz z wyspy bez nazwy...? – Wobec tego pytania znana mi dziewczyna jedynie wbija zimny wzrok w Kalillę i nie czyni nic więcej. Przy przedłużającej się ciszy na pomoc małżonce przychodzi Exon:

– Pani imperator zadała ci pytanie i... grzecznie byłoby nie dać się ponownie prosić...

– Nail jest niemową – wypalam beztrosko, tym razem racząc się do upojenia cierpkim winem. Z kolei na moje wyznanie zarówno Kalilla, jak i Exon gwałtownie sztywnieją i przyglądają się Nail niemal ze strachem, a na pewno znaczącym respektem. Dostrzegam, jak obecna imperator zaczyna dość szybko i płytko oddychać, aż faluje jej pierś pod białą suknią. Jednocześnie intensywnie wpatruje się ona w dziewczynę zasiadającą za stołem.

Obserwuję tę scenę wręcz z rozbawieniem, kiedy raptem przechodzi mi przez myśl, że moje urocze, przyszywane wujostwo bierze Nail za potencjalną, mityczną Anreę! Gdy naraz robi mi się nad wyraz dziwnie, uświadomiwszy sobie, że biorąc pod uwagę wiek dziewczyny, około dwudziestu lat, naprawdę mogłaby nią być.

Zaś chwilę później jest mi niedobrze od gorzkiego odczucia w gardle. Niesmak się potęguje i rozlewa na cały żołądek, aż wykręca mi nawet кишки. Z uczuciem nagłej, potężnej niestrawności doświadczam też przygniatającej słabości rozlewającej się na całe me ciało, a także świadomość.

Ostatnim, co rejestrują moje zmysły jest zastawa Nail, z której dziewczyna niczego nawet nie uszczknęła, jak również obraz samej Nail, która chwyta ze sztucców nóż, skacze zwinnie na blat stołu i rzuca się na Kalillę. Samego starcia nie dane jest mi jednak oglądać, bowiem nic mojej świadomości właśnie na dobre urywa się.

*

– Odłóż ten nóż, rozkazuję ci! – grzmi gniewnie Exon, na co dziewczyna stojąca za plecami kobiety silniej przyciska ostrze do jej szyi. – Dobrze już dobrze... – Łagodni swój ton imperator. – Wygrałaś, rozumiesz? Wygrałaś... Poprzysięgam ci, że Avezan otrzyma odtrutkę i oboje opuścicie te mury żywi... Przysięgam, tylko nie czyn krzywdy Kalilli, zaklinam cię!

*

Mój powrót do świata żywych dokonuje się w sytuacji, która ze wszech miar jest dla mnie niezrozumiała. W eleganckiej komnacie jestem sam i leżę nagi na wykwintnym łożu w białej pościeli. Lecz przede wszystkim mam ręce przywiązane do poręczy łóżka. Również do niej przywiązaną mam okalającą mą szyję obrozę.

Aby się uwolnić, próbuję raz i drugi szarpnąć się na posłaniu, napinając wszystkie mięśnie. Jednak bez powodzenia, krępujące mnie więzy są zapewne zbyt mocne nawet, jak dla mnie. Mimo to już zamierzam ponowić wysiłki, zebrać w sobie wszystkie posiadane moce i znowu spróbować się wyzwolić, kiedy dochodzi do mnie leniwy, kobiecy głos.

– Oszczędzaj siły na inne czynności, Avezanie... Cudownie ocalałeś, lecz skoro tak, to do czegoś mi jeszcze posłużysz. I zapewniam, że zaraz nie będziesz już pragnął wolności, a wręcz jeszcze większego zniewolenia... – Wypowiadająca się słodko postać, którą jest Kalilla, staje przede mną w zwiewnej, przezroczystej sukni, po czym kokieteryjnie zsuwa ją sobie z ramion, ukazując swe piersi w pełnej krasie. – Kontynuować...? – pyta kusząco. I nie czekając na odpowiedź, z gracją rozbiera się do naga. Następnie gramoli się wprost na mnie i spoglądając poniżej mego pasa, z satysfakcją oznajmia: – Widzę, że ci się podobam... Wszak jako mężczyzna nie jesteś w stanie tego ukryć...

To prawda nie jestem i dlatego nawet nie śmiem zaprzeczać. Ponieważ choć sercem jestem związany z Nail, to me męskie ciało nie jest w stanie

inaczej zareagować na cielesną powłokę pięknej kobiety. Kalilla ma już swoje lata, ale jej smukła, wysoka sylwetka pozostaje niemal dziewczęcą. Ciało jest jędrne i pachnące naturalną słodyczą, a skóra jasna, czysta i gładka. Czuję to, kiedy żona Exona nachyla się nade mną i swoimi piersiami ociera o moją klatkę piersiową. Zaraz potem całuje mnie lekko w usta, potem mocniej. Aż wydobywa z siebie pełne ulgi westchnięcie i orientuję się, że jesteśmy już w miłosnym zjednoczeniu.

Kompletnie oszołomiony wciąż nie wypowiadam żadnego słowa, doprawdy nie wiem, co w tej sytuacji mógłbym powiedzieć. Zamiast tego oddaję się miłości i kołyszącej na mnie Kalilli. Wpatruję się w jej wprawione w rezonans piersi i skłamałbym, twierdząc, że nie pragnąłbym ich teraz dotknąć, a nawet więcej, pocałować, gryźć i pieścić.

Niebawem kobieta zmienia pozycję i siada na mnie okrakiem w taki sposób, że podziwiam jej plecy i zgrabne pośladki. I znowu zaczyna się rytm miarowego kołysania, który prowadzi mnie tylko w jedną stronę – doznania czystej rozkoszy.

Aż w pewnym momencie moje niespodziewana kochanka zastyga w bezruchu. Schodzi ze mnie i kładzie się na łóżku, ale w taki sposób, że stopą gładzi mnie lekko po twarzy i uśmiecha cynicznie.

Ja sam, doprowadzony niemal do granic ekstazy, na ten czas czuję dojmujące niezaspokojenie i krzywię się mocno na twarzy. Nagłe bowiem zdaję sobie sprawę, że moje ciało aż buzuje od podniecenia. I obecnie zupełnie bez znaczenia jest dla mnie, dlaczego znalazłem się w tej niezrozumiałej sytuacji sam na sam z Kalillą. Za to liczy się wyłącznie jedno – osiąść nagą kobietę koło mnie, nic więcej.

Przeto naraz z całych sił napinam wszystkie mięśnie i szarpnię się na łóżku raz i drugi. Aż nieoczekiwanie wiązania na mych nadgarstkach ulegają rozluźnieniu i pozostają skrępowany jedynie obrozą na szyi. Jednak po części uwolniony daję radę gwałtownie usiąść, po czym wręcz ze zwierzęcą agresją rzucam się na Kalillę. Lecz bynajmniej nie po to, aby uczynić jej krzywdę. Czuję się pobudzony do granic wytrzymałości i po prostu muszę do końca osiąść tę kobietę, po prostu muszę!

Dalej sprawy toczą się błyskawicznie i po niezwykle gwałtownej miłości szybko jest już po wszystkim. Wtedy moja kochanka, która jeszcze przed

chwilą głośno wzdychała, teraz zręcznie wyslizguje się spode mnie. Staje ona na parkiecie w sypialnej komnacie i niespiesznie zaczyna się ubierać. Przy tym melancholijnie, jakby sama do siebie, mówi:

– Exon... On zawsze preferował ze mną statyczną miłość w pozycji lotosu... Napawało go dumą, że ćwiczymy Kan Li, tajemną, szlachecką sztukę miłości... Ja jednak przyznam ci się, czasami potrzebuję po prostu ostrej miłości... I to dlatego zawczasu poluzowałam ci sznury na nadgarstkach, choć nie na obroży. Mam nadzieję, że ci się podobało... – Obdarza mnie obojętnym spojrzeniem. Odwzajemniam jej analogiczne, pozbawione niedawnych emocji, a Kalilla swobodnie kontynuuje: – Zapewne tym, co zaszło, czujesz się dość zdezorientowany... To naturalne, ale wiedz, że wszystko ma swą przyczynę i nic nigdy nie dzieje się bez powodu. Więc po kolei... – Kobieta kończy się ubierać. Siada naprzeciw mnie na krześle i niespiesznie wyjaśnia: – Ja oraz Exon nie mamy żadnych wskazań, aby ci pomóc, a co dopiero odstąpić imperialny tron. Nie posiadamy bowiem żadnego długu względem twojej matki. Wszystko, czego się dorobiliśmy, osiągnęliśmy własnym trudem i poświęceniami, rozumiesz?

– To Anrea stworzyła imperium Pendorum, którym bezprawnie władacie... – Po raz pierwszy zabieram głos w tej komnacie, chrypiąc ponuro.

– Zaiste, to prawda, że Bogini Matka jest praprzyczyną, również założycielką tego władztwa – zgadza się kobieta. – Ale to ja oraz Exon sprawiliśmy, że imperium zdołało się utrzymać, a nawet powiększyć swe włości. Zaś co do Anrei... – Kalilla zawiesza głos i tym razem mówi nad wyraz cierpko: – Wiedz, że ta boska suka, która swego czasu podstępnie uwiodła mego ukochanego, obiecała mi potomka, mojego oraz Exona. – Kobieta mrozi mnie srogim wzrokiem i wskazując na swoje łono, z wyrzutem dodaje: – Tak, jestem bezpłodna i za wierną służbę nigdy o nic nie prosiłam twojej matki. O nic poza jedną, jedyną rzeczą. Mianowicie błagałam ją o potomka. Ona jednak mi go nie dała... Z czasem pomyślałam, że problem mógł leżeć po stronie Exona. Dlatego, gdy Anrea nas opuściła i wzięliśmy na siebie ciężar utrzymania imperium, własnym ciałem, jak zwykła dziwka, przekupywałam znamienitych mężów i lordów, aby przystali do nas, bądź chociaż sprzyjali lub zachowali neutralność. Tak,

upadlałam się, jako kobieta, lecz po cichu liczyłam, że może któryś z posiadających mnie mężczyzn da mi upragnione dziecko. Tak, po czasie pragnęłam już wyłącznie potomka, nie zważając na to, kto będzie ojcem... Hah, ostatnio nawet puścił się z chłopcem stajennym w tym zamku. Akurat oglądałam w stajni brzemienną klacz. Spojrzałam na własne, płaskie łono i po prostu stanęłam na czworakach, podwinęłam suknię i kazałam memu słudze zrobić swoje, myśląc, a może tym razem?! Jednakże ani tym, ani innym nic się nie wydarzyło, Avezanie, pozostałam z jałowym łonem... Aż oto zjawiasz się ty, syn samej mitycznej Anrei, przeklętej i podziwianej zarazem Bogini... Dobrze, pomyślałam po twoim cudownym ocaleniu, gdzie niemal zostałeś na śmierć otruty, to moja ostatnia szansa na cud, myślę sobie. Jeżeli Bogini Matka naprawdę swego czasu obdarowała mnie jakąkolwiek łaską posiadania potomstwa, to jesteś ostatnim mężczyzną na świecie, półbogiem, który może uczynić mnie matką, rozumiesz? Czy tak będzie w rzeczywistości...? Czas pokaże...

Nastaje dłuższa cisza, podczas której pozostaję niezmiennie z cierpkim wyrazem na twarzy. Tak, zostaję wykorzystany, lecz bynajmniej nie mogę stwierdzić, że tego, co się wydarzyło, jednoznacznie żałuję. W pewien sposób rozumiem Kalillę po wysłuchaniu jej opowieści i jej współczuję.

– Zaś co do twojego dalszego losu... – Moje rozważania przerywa łagodny, kobiecy głos. – Niestety nie mam dla ciebie dobrych wieści...

– Co ze mną zrobicie? – Po swoim niedawnym spełnieniu pytam ze spokojem, nie będąc w stanie wskrzesić w sobie należnego w tej sytuacji gniewu.

– Jak już wspomniałam, na pewno nie oddamy ci władzy nad naszym imperium... – oznajmia z politowaniem kobieta. – Za to oddamy cię komuś, kto zapłaci za ciebie sówitą cenę...

– Komu?

– Otóż z Exonem pragniemy zachować w granicach naszego władztwa bogate miasto Rakus, do którego słuszne prawo rości sobie Bóg Arezar, nowy władca cesarstwa Terraticos. Aby skutecznie walczyć z zastępami tego syna Anrei, musielibyśmy ściągnąć z za oceanu najemną kompanię, na przykład słynnych Brazników. Lecz to bardzo nadwyreżyłoby nasz

skarbiec. Dlatego spróbujemy innej drogi i oddamy cię wspomnianemu Bogu, jako nasz skromny podarek i wstęp do pokojowych negocjacji...

– Zatem srogo się zawiedziecie – rzucam obojętnie.

– Czyżby...?

– Niewątpliwie, ponieważ mój ojciec, Zan, opowiadał mi co nieco na temat Arezara. Obecnie to mściwy, podstępny i okrutny Bóg. Nie liczyłbym z jego strony na ugodę.

– Cóż... – Kalilla wzrusza z lekka ramionami. – Decyzja już zapadła i nie jesteś w stanie na nią wpłynąć. Za to mogę ci obiecać, że niebawem osobiście staniesz przed Arezarem, jako... jego brat.

Obecna pani imperator wychodzi niespiesznie z komnaty, kołyszac mocno biodrami. Ja zaś zamykam oczy, wypuszczam powietrze z płuc i nagle czuję się bardzo zmęczony, tak zmęczony, zupełnie jakbym sam był nieśmiertelnym Bogiem, stąpającym po ziemi od tysięcy lat. Więc pełen dwulicowości, intryg i ukrytych celów – takim jawi się prawdziwy świat?

*

Nail odwraca się od dziury w ścianie, przez którą oglądała do tej pory Avezana oraz Kalillę i z zaciętą miną gwałtownie uderza Exona w twarz. Bierze kolejny zamach, ale mężczyzna chwytając jej rękę i karcąco oświadcza:

– Uspokój się, kimkolwiek naprawdę jesteś, natychmiast uspokój. Teraz rozumiesz wszystkie nasze motywy i dobrze ci radzę, nie mieszaj się więcej do tej sprawy, ona cię nie dotyczy. A skoro jesteś zbiegłą niewolnicą. – Spogląda na kark dziewczyny, gdzie wypalona jest litera V. – Naciskam, abyś czym prędzej opuściła moje władztwo i żyła gdzieś z dala stąd w pokoju, bo nie mam powodu życzyć ci źle. Czy wyrażam się jasno?

W odpowiedzi Nail tylko wściekle obnaża zęby. Wyrzywa się z uścisku Exona i zdecydowanie rusza w kierunku uchylonych drzwi pilnowanych przez parę strażników. Przekracza je i idzie dalej.

– Nie róbcie jej przeszkód i towarzyszcie aż do granicy imperium, niezależnie, w którą stronę się uda – rzuca do pary zbrojnych ludzi władca. – Jesteście za nią osobiście odpowiedzialni, jak również za to, by nie zbliżyła się więcej do Avezana. – I już ciszej dodaje: – W razie

konieczności dyskretnie się jej pozbadźcie... Sam zrobiłem dla niej, co mogłem...

*

W obstawie czterech strażników jadę w drewnianej klatce wozem zaprzężonym w dwa woły. Me dłonie i nogi więżą ciężkie kajdany, lecz najbardziej ciężą mi myśli odarte z młodzieńczych złudzeń. Otóż okazuje się dobitnie, że kontynent Pendorum na mnie, podobnie jak na moją matkę, nie czekał usłany różami. Teraz rozumiem, że o wszystko, co ważne, trzeba samemu bezwzględnie zawalczyć. Potem z jeszcze większą determinacją tego chronić. I zaprawdę powiadam, że się jeszcze wyzwolę z okowów i uczynię to, co mi przepowiedziane. Natomiast tych, którzy winni są należytą kary, przed moim słusznym gniewem nic nie uchroni.

Po całodziennym jeździe przychodzi ciemna noc i wóz się zatrzymuje, podczas gdy strażnicy z woźnicą przygotowują skromne obozowisko. Przyglądam się im od niechcienia, a w pewnym momencie otrzymuję grubą pajdę chleba i bukłak z wodą. Mimo dojmującego głodu oraz pragnienia jem i piję bez pośpiechu, spoglądając co raz na zasnucone chmurami czarne niebo, to pilnującego mnie strażnika, który pozostał na czatach.

Aż raptem mężczyzna wydaje z siebie tłumiony, charczący bulgot. Zaskoczony dostrzegam cudzą dłoń na jego ustach, a na gardle sztylet, który głęboko rozcina mu szyję. Po chwili strażnik jest już martwy, a ja widzę przed sobą ciemną sylwetkę Nail. Dziewczyna wyjmuje z kieszeni zabitego mężczyzny klucze i czym prędzej próbuje otworzyć drzwi do klatki.

A musi się spieszyć, bowiem nie całkiem bezgłośnie śmierć strażnika zaalarmowała już trójkę pozostałych oraz woźnicę, którzy to podrywają się sprzed ogniska na nogi. Dlatego Nail, po otwarciu klatki, rzuca mi pęk kluczy, abym sam zdjął z siebie kajdany. Ona natomiast dobywa dwa krótkie miecze i staje na wozie w wyzywającej pozie.

Stwierdzam, że w skąpym świetle księżyca, które właśnie wychynęło zza chmur, dziewczyna wygląda wręcz doskonale niczym dumny posąg mitycznej bohaterki. Jednocześnie pospiesznie przebieram palcami i próbuję dobrać odpowiedni klucz, który oswobodzi mi nogi.

Chrzest w żelaznym zamku idzie w parze z wyzwoleniem z pierwszej pary okowów na nogach. Zaś następnym docierającym do mnie dźwiękiem jest gwałtowne uderzenie metalu o metal. To Nail broni się równocześnie przed trzema napastnikami z długimi mieczami i jednym zaopatrzonym w pałkę. Dziewczyna zręcznie paruje wymierzane w nią ciosy, aż zwinnie zeskakuje z wozu wprost pomiędzy napastników.

W tym momencie tracę ją z oczu, za to słyszę dwa rozpaczliwe, męskie krzyki i kolejne odgłosy, gdzie krzyżowany jest oręż. W odpowiedzi mimo chłodnej nocy na moje czoło wstępują kropelki potu i nie próbuję dalej oswobodzić swych rąk z kajdan, tylko rzucam się Nail na odsiecz.

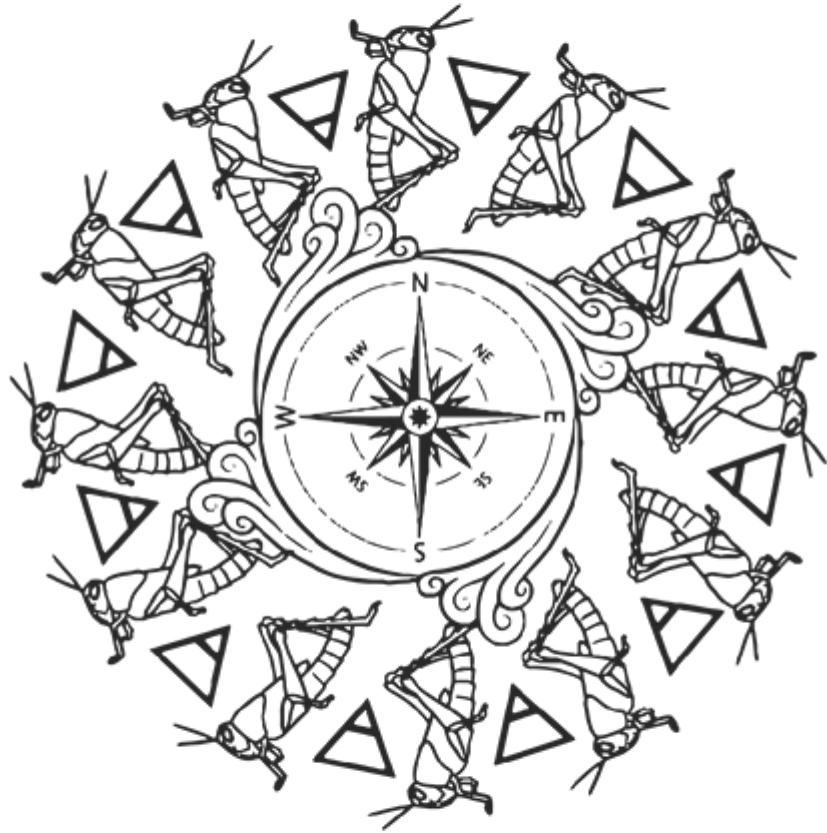
Wyskakuję z wozu, jak z katapulty i spadam wprost na strażnika, który zamierza się mieczem na leżącą na ziemi we krwi dziewczynę. Taranuję mężczyznę i koziółkuję z nim, po czym oplatom łańcuchami jego szyję i zaciskając okowy, w mgnieniu oka miażdżę tchawicę. Odpycham konającego mężczyznę i chwytam jego długi miecz, by w ostatniej chwili skrzyżować go z pałką woźnicy zmierzającą na skroń Nail. Następnym ciosem pozbawiam woźnicę głowy i czynię krok do tyłu gotowy ponownie zaatakować.

Lecz uświadamiam sobie, że nie będzie to wcale konieczne. Pozostałych dwóch strażników dogorywa przy wozie. Jeden z głęboką raną w brzuchu, a drugi wykrwawia się od rany w pachwinie. To dzieło Nail. A skoro przeciwnicy są już pokonani, to odrzucam oręż i podbiegam do dziewczyny. Kucam przy niej i wspieram jej głowę na dłoniach. Ze skroni leje jej się obficie krew. Ale bynajmniej nie dostrzegam na dziewczęcej głowie otwartej rany. Stąd wniosek, że jest to obca krew.

I rzeczywiście. Nail zaraz wstaje, otrząsa się i jakby nigdy nic otrzepuje swoje nieco sfatygowane ubranie, po czym wyciera zakrwawioną głowę w fartuch woźnicy. Potem dłuższy czas wpatrujemy się w siebie bez słowa, a towarzyszy nam chrapliwe rżenie konających.

Niebawem wyruszamy konno w kierunku miasta Rakus. W krótkiej rozmowie Nail wyjawia mi, że pragnie ona opuścić kontynent Pendorum i odszukać swój domniemany dom, Wyspę Czarnego Piasku. I dodaje, że jeśli chcę, to mogę do niej przystać.

A ja? Kolejny już raz uświadamiam sobie, że ciężko mi tej dziewczynie czegokolwiek odmówić, zwłaszcza że znowu mnie ona ratuje, co chyba wchodzi jej w nawyk. Ale nie tylko to jest powodem, iż z chęcią przychyliam się do zamysłu Nail. Wszak jest tu coś jeszcze, coś istotnego. Otóż ten świat, Pendorum, jego domniemany blask, o którym od zawsze marzyłem, raptem bardzo blaknie. Sam mam naraz wielkie wątpliwości czy pragnę tu być i straceńczo walczyć o wydawałoby się w tej chwili przegraną sprawę, zjednoczenie krainy, przez którą czuję się w jakiś sposób zdradzony i pokonany zarazem.



IV. PIRACI

W drodze do miasta Rakus Nail wyjawia mi, że wcześniej, na statku, który przywiódł nas na kontynent Pendorum, długo spiskowała z przewożonymi tam niewolnikami. Zdradza mi, iż od początku brała pod uwagę bunt, choć gdyby nie impuls w postaci mego ataku na Zachara, zapewne nie odważyłaby się zrealizować marzeń o wyzwoleniu. Jednocześnie w jakiś sposób, którego ciągle sama nie rozumie, związała swój los z moim. Pozbawia mnie złudzeń – z jej strony nie jest to bynajmniej miłość. Jest to jednak coś, co kolejny raz nie pozwoliło jej być biernej wobec grożącego mi niebezpieczeństwa i zapobiega ona oddaniu mnie w ręce Arezara. Natomiast niewolnicy, którzy wszczęli bunt, jeżeli szczęśliwie przejęli okręt, mają w trzy początkowe kwarty księżyca przypluć na wschód od Rakus. Taki ponoć układ zawarła z ich przywódcą Nail w momencie, kiedy się rozdzielali. Z kolei następna kwarta ma się rozpocząć za dwa dni i swobodnie dotrzemy konno w odpowiednie miejsce i porę, aby rozpaść sygnalizujące naszą pozycję ognisko.

Wkrótce jesteśmy o czasie tam, gdzie trzeba i zasiadamy wspólnie na plaży w ciszy oraz ciepłe wzbijających koło nas płomieni. Jednak mnie samego przedłużająca się cisza irytuje, bowiem nieustannie ciągnie mnie do wymiany myśli z Nail. Choć znamy się już dłuższy czas, to po części z powodu niemożności wypowiedzenia głośno słów przez dziewczynę, dochodzę do wniosku, że tak naprawdę kiepsko ją do tej pory rozumiem. Zaś ona sama wyrzeka się uczucia wobec mnie, zasłaniając jakąś tajemniczą powinnością skierowaną ku mojej osobie. Zatem czym jest ta powinność i co ta postać tak naprawdę sobie o mnie myśli, kim dla niej w rzeczywistości jestem? Pragnę to wiedzieć, skoro razem mamy wyruszyć w nieznane.

– Nail... – zaczynam łagodnie i spoglądając na nią z ukosa, delikatnie gładzę po policzku. Ona nie uchyła się przed tym dotykiem, ale też nie

Ignie do niego. Nie patrzy na mnie, ale także nie ucieka wzrokiem. – Nail...
– powtarzam miękko i kontynuuję: – Kim my dla siebie nawzajem jesteśmy według ciebie?

– „Jest nas dwoje, a nie jedno” – gestykuluje dziewczyna.

– Nie rozumiem. – Bezradnie rozkładam ręce.

– „Nie jesteśmy sobie prawdziwą parą. W naszym życiu są inne osoby”.

– Odkąd cię poznałem, jesteś dla mnie jedyna, naprawdę... – stwierdzam z przekonaniem. – Nawet wyznałem ci miłość...

– „A ta kobieta, imperator”?

– Kalilla...? Co z nią...? – pytam niby obojętnie. – Wiesz coś na nasz temat...?

– „Nie tyle wiem, co widziałam”. – Nail spogląda mi surowo w oczy. – „Mąż kobiety mi to pokazał przez dziurę w ścianie. To, jak rzuciłeś się na nią”.

Po tych gestach dziewczyny opuszczam nisko głowę i naraz tracę ochotę na dalszą rozmowę. Uświadomienie sobie własnej hipokryzji jest zawstydzające. Jednak wytknięte przez bliską osobę sprawia, że człowiek ma ochotę wręcz zapaść się pod ziemię i zniknąć w złocistym piasku, na którym akurat zasiada.

I już sędzę, że moja próba ponownego zbliżenia do Nail po prostu trafia na mur nie do przebycia i tyle, to koniec. Ale okazuje się, że w tym murze jest jednak mały wyłom:

– „Pytałeś, co nas łączy. Tak, jest coś takiego”.

– Czymże to jest? – zapytuję z nikłą nadzieją.

– „Teraz oboje jesteśmy zbiegami, którzy jednak się nie poddają i potrafią walczyć o swoje. To czyni nas podobnymi i dlatego z chęcią widzę cię u swego boku”.

– Ale nie w swym sercu...?

– „Nie ma tam obecnie miejsca dla ciebie” – Nail składa ręce na klatce piersiowej, potem czyni z dłoni kulę, którą gwałtownie rozpląszcza.

– Rozumiem... – Wzdycham głęboko i w końcu daję za wygraną. A zaraz mrużę oczy, by po chwili być już pewnym. Zmierza do nas spora

łódź, więc czas się zbierać i ruszać w drogę.

Niebawem jesteśmy już na zacumowanym w zatoce okręcie. Od tej pory Nail zupełnie traci mną zainteresowanie i siada koło jakiegoś mężczyzny. On obejmuje ją, a ona jego. I w tym momencie gesty tej dziewczyny o braku miejsca w jej sercu dla mej osoby nabierają zupełnie innego znaczenia. Mnie z kolei obecna sytuacja pozostawia z uczuciem kompletnej pustki.

W kolejne, słoneczne dni zmierzamy statkiem do kanału prowadzącego wprost na Światowy Ocean. Osobiście otrzymuję tę samą kajutę, którą zajmowałem tu podczas poprzedniej podróży. Z tą tylko różnicą, iż teraz jestem tu zupełnie sam.

Lecz bynajmniej niespieszno mi na góry pokład, ponieważ ile razy tam raczę zaglądać, to niemal zawsze nadziewam się na Nail. Ale nie samą, a w towarzystwie postawnego mężczyzny, długowłosego blondyna demonstrującego na muskularnym, nagim torsie i plecach wielobarwne tatuaże poprzeplatanych ze sobą węży i smoków. Szybko się orientuję, że to on tu dowodzi, a jego zastępczynią jest Nail, jego partnerka. Ja zaś jestem tu jedynie pasażerem z prawem pobytu, który w razie kłopotów powinien żwawo chwycić za oręż. I w bieżącej chwili, nie widząc dla tej sytuacji rozsądnej alternatywy, akceptuję mój los.

Jednakże los ponownie zdaje się złośliwy, zupełnie jakby krążyło nade mną jakieś fatum, mityczne przekleństwo. U wejścia do kanału napotykamy dwa statki z piracką banderą – flagą obrazującą trupa czaszkę z przepaską na oku. Natychmiast zawracamy, obierając inny kurs. Jednak pościg już się rozpoczął. A na domiar złego po naszej prawej i lewej burcie pojawiają się kolejne pirackie okręty, zupełnie jakby te się między sobą porozumiewały mimo braku wzajemnego widoku.

Wkrótce zostajemy wzięci w kleszcze, a następnie okrążeni i oczywiste się staje, że już jesteśmy przegrani. Zbieramy się na górnym pokładzie w ilości kilkunastu buntowników. Natomiast nasz przywódca, zrezygnowany, każe opuścić żagle, a na maszt wywiesić białą flagę oraz złożyć na środku pokładu naszą broń.

Doprawdy to podła chwila, kapitulacja, wręcz nie dałyby rady wyrazić jej gesty czy słowa. Bowiem wiemy, że nasz klęska nie skończy się jedynie

na ponownym zakuciu w kajdany. Niewątpliwie nasi oprawcy zechcą nam wymierzyć stosowną karę.

Wśród nich, około czterdziestu zbrojnych piratów, pojawia się ubrana na czarno kobieta, która wydaje się hersztem tutejszej zgrai. Ma ona czarny kapelusz z szerokim rondem, od którego odchodzą smoliste, długie pióra. Ponadto jej upstrzoną czarnymi kropkami twarz przesłania czarna opaska na oku. W tym samym kolorze nosi ona ciasny, skórzany gorset oraz napierśnik, jak również spódnicę do kolan i wysokie buty na okazałym obcasie.

Przygląda się ona z lekceważącym uśmiechem nam, buntownikom, którzy stoimy w rzędzie przy burcie, półnaczy, zrezygnowani i niemal wszyscy ze spuszczonej pokornie głowami.

Z kolei przywódczyni piratów podchodzi do partnera Nail, który jako jedyny dumnie zadziera głowę. Patrzy mu w oczy, po czym uderza otwartą dłonią w twarz raz i drugi. Ten nie reaguje, a wtedy kobieta uzbiera się w nóż.

Gdy naraz drogę zasłania jej Nail, rozpościerając szeroko ramiona i ochraniając mężczyznę własnym ciałem. Wobec takiego ruchu kobieta cofa się o krok i głośno gwizdże na palcach. Nie mija chwila, a dwóch piratów chwyta dumnego mężczyznę za ramiona, a kolejna para łapie Nail.

Wówczas wroga przywódczyni uśmiecha się szerzej i klepie naszego przywódcę wręcz przyjacielsko po plecach. Do tej pory napięta do granic możliwości atmosfera zaczyna się rozluźniać.

Lecz raptem kobieta wbija nóż pod pępek mężczyzny. W odpowiedzi Nail rzuca się jak oszalała i szeroko otwiera usta, jakby wydając z siebie niemy krzyk. Jednak piraci trzymają ją z całych sił i zmuszają do oglądania egzekucji jej partnera. Ten jest z wolna rozcinany z dołu do góry, patroszony niczym pochwycona ryba. Na pokład wylewają się jego krwawe wnętrzności i targają nim śmiertelne konwulsje. Zaś nóż w jego ciele zatrzymuje się dopiero przy gardle.

– Za burtę z tym buntowniczym ścierwem i jego cuchnącymi flakami, ale już! – drze się naraz gromko egzekutorka. Chowa zakrwawione ostrze za pas i jak na wiwat zamasyżuje macha zdjętym z głowy kapeluszem. W

tym czasie truchło przywódcy zostaje przerzucone za burtę, a piraci pozwalają osunąć się zrozpaczonej Nail na kolana.

Cała ta scena wydaje się iście przerażająca. Jednakże sam orientuję się, że w moim wnętrzu właśnie rozgrywa się coś po stokroć potworniejszego. Oto uświadamiam sobie, że gdzieś w głębi siebie odczuwam cień satysfakcji z powodu tego, co spotyka wypatroszonego mężczyznę. Tak, w jakiś sposób zabrał mi Nail i spotyka go za to zasłużony, okrutny los, a krnąbrna dziewczyna także powinna pocierpieć, w końcu wzgardziła mną.

Wzdrygam się na me przekłete myśli, nie wierząc wręcz, iż mogą pochodzić ode mnie. Natomiast w przestrzeni rozbrzmiewa dumny krzyk przywódczyni piratów:

– Zatem po krótkim, demonstracyjnym spektaklu! Żywię nadzieję, iż wszyscy bawiliście się wyśmienicie... Witaj mój zbuntowany inwentarzu, który właśnie powraca do prawowitego właściciela!

– Zabijmy jeszcze jego, tego piegowatego rudzielca... – Naraz słyszę z boku znajomy głos i raptem nie mogę uwierzyć w to, co widzę. Słowa są bowiem wypowiedane przez Zachara, aż do tego czasu będącego więźniem w ładowni tego statku. Lecz o zgrozo ma on teraz swoje oko na właściwym ku temu miejscu, czyli w oczodole! Przygląda mi się nim z nienawiścią i satysfakcją zarazem, kiedy przywódczyni piratów opiera czubek noża na moim pępku. Sam tylko smętnie przesuwam spojrzenie na Nail i zauważam, że tym razem załamana dziewczyna nie reaguje i bynajmniej nie zamierza stawać w mojej obronie. – Doskonale, załatw go, Virio! – powarkuje z kolei Zachar.

– Zaraz...Virio...? – powtarzam zaskoczony jakby sam do siebie.

– Tak, Virio, a co?! – Kobieta posyła mi kąśliwy uśmiech. – Gdy już poznałeś moje imię i jego złą sławę, zamierzasz jeszcze przed zgonem sfajdać się we własne gacie? Ha!

– Słyszałem o tobie...

– Otóż to! Jak każdy w Pedorum, kto niepozbawiony jest uszu!

– Słyszałem o tobie z opowieści Zana, mego ojca... Należałaś do kompanii mej matki, Anrei...

– Eee... – Kobieta nagle spuszcza z tonu i patrzy na mnie z krzywym uśmiechem, a jej nóż powoli wędruje po moim ciele aż do mego gardła. Ja natomiast spoglądam na okładkę Traktatów Etosa, książkę wystającą mi nieśmiało zza paska. Viria wyrywa mi ją i raptem całkiem opuszcza ją wyśmienity humor. – Co się z nią stało, z Anreą...? – zapytuje słabym głosem i jakby z lękiem rozgląda się po niewolnikach.

– Nie żyje – odpowiadam spokojnie. – Umarła dawno temu tuż po wydaniu mnie na świat.

Po tej deklaracji przywódczyni piratów opada ciężko tyłkiem na jedną ze skrzyń. A zaraz, ręką z trzymanym w niej ostrzem, ociera sobie z oka łzę. W obliczu takiej reakcji czuję się już pewniej i zdecydowanie przemawiam:

– Wiem, że moja matka nie raz uratowała ci życia. Masz zatem u niej dług i jeżeli pragniesz go spłacić, to puść mnie wolno. Mnie oraz... Nail...
– Spoglądam na cięgle klęczącą dziewczynę. Zaś Viria pociąga mocno nosem. Patrzy mi wyzywająco w twarz i coraz ostrzej z siebie wyrzuca:

– To prawda, że Anrea nie raz uratowała mi skórę i za to cię nie zabiję. Ale też nie puszcze cię wolno!

– Nie...? – pytam zaskoczony.

– Otóż nie, wyobraź sobie! – wybucha na dobre kobieta. – Swego czasu zawierzyłam swój los tej boskiej suce, twej matce. Byłam jej wierna i nawet sypiałam z kim popadnie na jej rozkaz! I co ona zrobiła?!

– Co...?

– Opuściła nas! – grzmi Viria. – Po prostu sobie zniknęła! – dodaje wściekle i posykuje dalej: – Tak więc z jej synalkiem nie zamierzam obchodzić się ulgowo, o nie. Zwyczajowo zakuję cię w kajdany, jak na syna niewolnicy przystało... i już nawet wiem, kto zapłaci za ciebie stosowną cenę, ha! – Kobieta wskakuje zwawo na skrzynię i wniebogłose krzyczy: – Stawiać żagle moje morskie pomioty! Płyniemy do Etos na targ niewolników! A jak!

– Zatem w imieniu mej matki proszę tylko o jedno... – chrypię grobowym tonem.

– Czego znowu?! – niecierpliwi się Viria.

– Nie rozdzielaj mnie oraz Nail. – Patrzę na dziewczynę.

– Hmh... Niech tak będzie, zgoda, szczęśliwy?!

– Protestuję! – włącza się do dyskusji Zachara. Na co przywódczyni piratów podskakuje do niego i grożąc ostrzem, wściekle z siebie wyrzuca: – Zamilcz, łajzo, albo wydlubię ci twoje ostatnie oko i zjem na kolację, jako przystawkę, przed twoim mózgiem, głównym daniem, dotarło?!

W odpowiedzi mężczyzna potulnieje. A ja, pragnąc się upewnić, zapytuję:

– Na pewno mogę ci zawierzyć...?

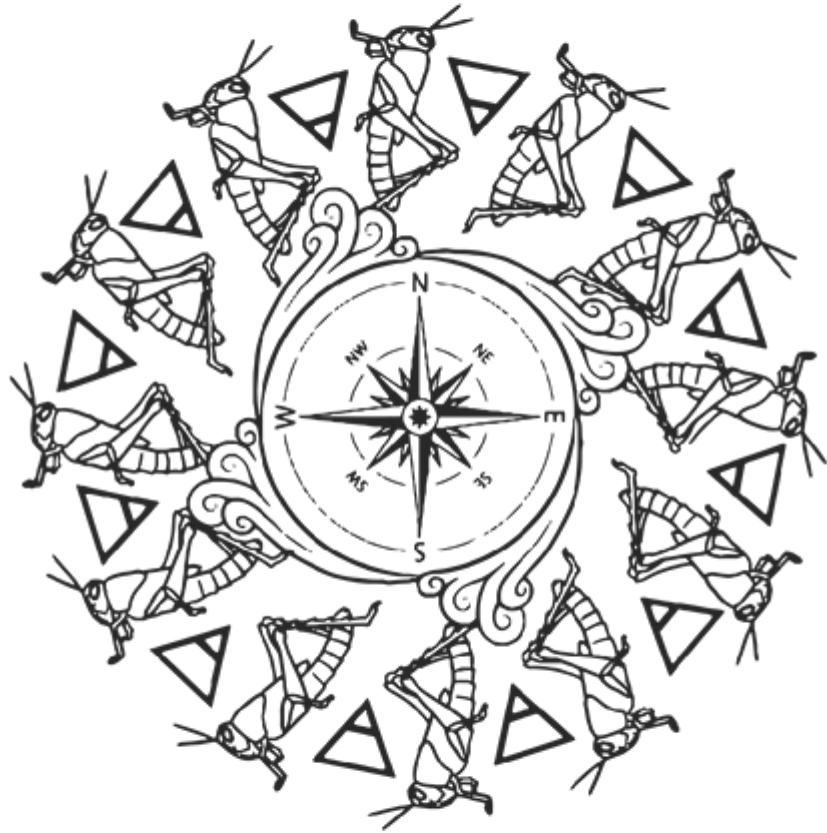
– Jak nikomu na świecie! – drze się kobieta. – Mi oraz Ravelowi... można wiele zarzucić, ale my nie kłamiemy, rozumiesz?! My nie kłamiemy, nigdy!

Kiwam twierdząco głową na zgodę i tak kończy się moja konfrontacja z Virią, dawną towarzyszką mej matki.

Tej nocy, skuci łańcuchami, wszyscy niewolnicy siedzimy w milczeniu przy burcie. Zrywa się burza, dmie wicher oraz pada rześisty deszcz, które wspólnie smagają nas niczym wilgotnym biczem. I wydaje się to pewną zapowiedzią naszego przyszłego, niewolniczego życia, czegoś, co było i jest udziałem całej rzeszy niewinnych istot.

W tej zaiste tragicznej sytuacji jedyną pociechę niesie mi to, iż na moim ramieniu wspiera głowę Nail. Nic nie mówię do dziewczyny i nawet nie próbuję słać jej słów pociechy. Co pewien czas spoglądam tylko w jej oczy, gdzie dostrzegam bezdenną pustkę. Ta osoba się nie załamuje, ale też nie zauważam w niej nadziei. Tak w każdym razie sądzę, aż do momentu, gdy na dziewczęcym policzku widzę spływającą z wolna łzę. Ocieram ją palcem i kojąco oznajmiam:

– Odpocznij, Nail, i wiedz, że masz we mnie dożgonnego przyjaciela, na zawsze. Jak prawiałaś... jesteśmy obecnie w takiej samej sytuacji i wierz mi, że nasza wspólna walka dopiero się rozpoczyna... – Tulę do siebie mocno dziewczynę, a na ramionach czuję jej kolejne, wilgotne łzy.



V. ETOS

Po kilku dniach żeglugi docieramy do portu w pobliżu Etos. Stąd gnani jesteśmy pieszo aż do monumentalnego miasta. Mijamy zdobne bramy oraz ich łukowane sklepienia pokryte kunsztownymi rzeźbieniami. Dalej zapędzani jesteśmy aż na plac, gdzie tłumnie kłębią się inni niewolnicy. A nietrudno jest ich rozpoznać po nieodzownych kajdanach na rękach i nogach oraz obrożach na szyi.

Dzień jest słoneczny i ciepły jak ponoć większość dni w roku na terenie cesarstwa Terraticos. Wiem to z opowieści mego ojca, Zana. Od niego także mam informację, że gdzieś w tym wielkim mieście z kamienia i marmuru znajduje się zakon Arezara oraz niesławne, krwawe Koloseum.

Tymczasem nieustannie staram się trzymać blisko przy sobie Nail. Tej nadziei i celu obecnie się chwytam, tego, że mimo swego żalosego położenia zdołam ją jakoś ochronić. Nie chcę myśleć już tylko o sobie i własnych potrzebach, czuję, że to mnie osłabia i tchnie we mnie strach oraz zwątpienie. Muszę myśleć również o innych i to ich dobro uczynić swym własnym. Tak prawił mój ojciec, ale dopiero teraz dostrzegam w tym głębszy sens.

Dlatego oddaję Nail porcję mej wody i przeznaczony mi chleb. Okłamuje ją w dobrej wierze, że sam już się nasyciłem, gdy ona na chwilę kucnęła na kamiennej nawierzchni, by zaznać choć trochę odpoczynku. A kiedy ona się posila, to mi wystarcza, abym sam, mimo głodu, czuł się silniejszy i przede wszystkim w jakiś sposób spełniony.

Aż późnym popołudniem, gdy słońce nie jest już w zenicie i przestaje niemiłosiernie prażyć ciało, wręcz palić, staje przede mną Viria. Lecz nie przybywa ona sama, a z dojrzałą, pulchną kobietą w obszernej, kremowej sukni pełnej zdobnych falban. Jest to strój zdecydowanie niepasujący krojem do mody w cesarstwie Terraticos, gdzie nieodzownie królują

różnorodne tuniki. Ponadto kobieta ta ścisła pod pachą niezwykle gruby, wysłużony notes, z którego wystają krańce postrzępionych stronic.

Postać ta przygląda mi się dłuższy czas z pewną dezaprobatą, aż w pewnym momencie głos zabiera Viria:

– Tak, to właśnie Avezan, raczyłam o nim już wspomnieć. Syn naszej boskiej, świętej pamięci Anrei, która zapewne już się gdzieś odrodziła i znowu będzie mącić... – Spogląda nieufnie na Nail, potem na mnie i kontynuuje: – Więc ten zdrowy egzemplarz młodego mężczyzny, półboga, może być twój, za skromne, powiedzmy... trzydzieści złotych aureusów... Co ty na to, Adoro...?

– Adoro...? – Wytrzeszczam oczy, słysząc te imię. Z tą chwilą wspomniana kobieta uderza mnie mocno dłonią w twarz i wyniośle oznajmia: – Ten niewolnik jest nieposłuszny, odzywa się bez pozwolenia. Dam dziesięć.

– Dziesięć?! – drze się na to zbulwersowana Viria i szarpie mnie za łańcuch przy obroży na szyi. – W takim razie pójdę z tym okazem do samego Arezara! Zobaczymy, ile on zapłaci za syna swej matki, a własnego brata!

– Dwadzieścia. To moje ostatnie słowo.

– Niech stracę... – mruczy Viria i stawia warunek: – Zgodzę się jednakże tylko, jeśli wyjawisz mi, co też takiego zamierzasz z nim uczynić... I to coś sprawi, że nie zostanę zawiedziona...

Na co Adora wyniośle oświadcza:

– To do mnie należy teraz szkoła Artusa i chętnie powitam w jej murach takiego gladiatora.

– Ha! – Przyklaskuje w dłonie Viria i z pasją dodaje: – Tym wyznaniem poprawiłaś mi humor na wiele bezwietrznych dni, które zapewne niebawem będę przeklinać na morzu, ha! Ale... skoro tak dobrze się dogadujemy... Co powiesz na to, abym dorzuciła jeszcze do kompletu do Avezana jego partnerkę z nadania Harremid, niejaką Nail...? A w zamian poproszę jedynie o oko tego oto rudego młodzieńca... Nie ważne lewe czy prawe, możesz wybrać...

Słyszając tę propozycję, szarpie się gwałtownie. Ale w efekcie uzyskuje jedynie to, że towarzyszący Viri piraci okładają mnie gęsto pięściami i pozostawiają plującego krwią na klęczkach.

– Bardzo dobrze, niech nabierze pokory, a teraz wyłupcie mu oko... – oznajmia kąśliwie przywódczyni piratów.

– Dość tej błazenady – stwierdza naraz zdecydowanie Adora. – Zabieram tę parę i to w nienaruszonym stanie, płacąc dwadzieścia złotych monet za mężczyznę i dwie za dziewczynę. Ty zaś zejdz mi z oczu. Nie chcę cię widzieć w mieście przez kolejny miesiąc. Odkąd rządzi tu Arezar, robi się w Etos coraz bardziej niespokojnie. Nie chcę przez ciebie dodatkowych kłopotów, jakie już miewam z Legionem Śmierci.

– Ale... – posykuje gniewnie Viria.

– Wiesz, że tylko dzięki mnie i za moim pośrednictwem możesz handlować w Etos. Zatem?

– Hah, nieczuła suka... – rzuca z szelmowskim uśmiechem na ustach Viria, gdzie pogarda na jej kropkowanej twarzy miesza się z podziwem. Następnie nastawia otwartą dłoń ku Adorze, a ta z woreczka przywiązanego do pasa wysupłuje wspomnianą kwotę. W odpowiedzi przywódczyni piratów kłania się przesadnie nisko, po czym macha ręką na swych ludzi i w ich obstawie odchodzi.

W miejsce piratów pojawiają się pomocnicy Adory, którzy mnie oraz Nail popychają ku jednej z ulic wiodącej z placu. Lecz zanim się tam udamy, kieruję do mojej obecnej właścicielki następujące słowa:

– Miałem wątpliwą przyjemność poznać już licznych druhów mej matki: Exona, Kalillę, ostatnio Virię, a teraz ciebie, pani... I zapytuję... Czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie jak rzecz?

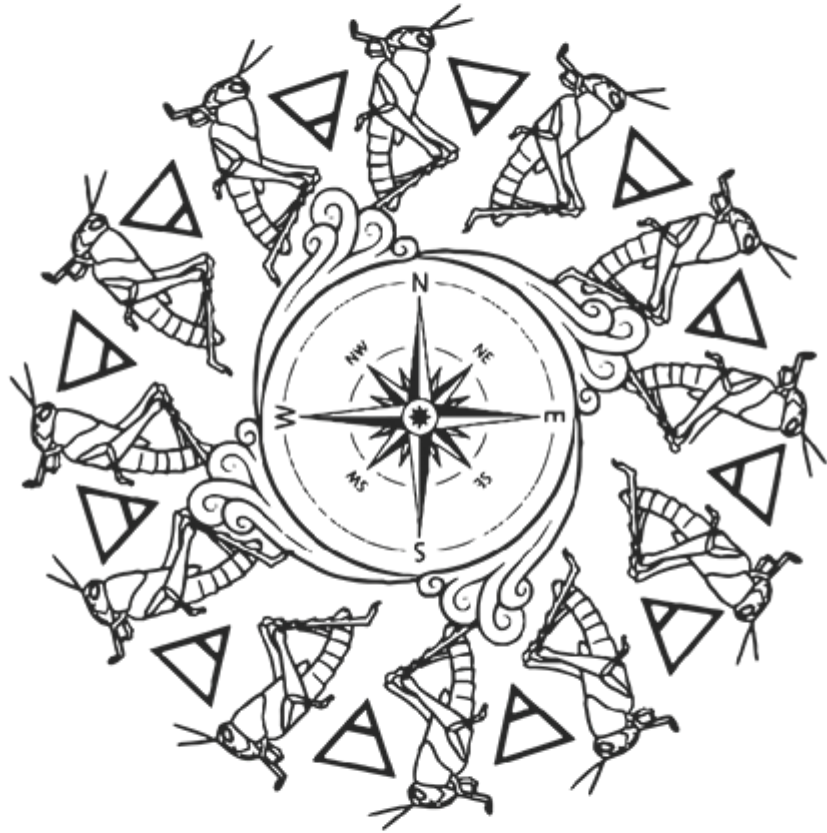
– Grzechy rodziców spadają na ich dzieci, takie jest prawo – stwierdza oschle Adora.

– Więc czym zawiniła ci moja matka? Chciałbym wiedzieć, za co też będę pokutował.

– Anrea złamała daną mi oraz Gabu obietnicę, nie zabiła Pajosa. A przede wszystkim nie ochroniła życia dziecka mojego oraz Exona. I to jej działanie przyczyniło się do zguby mego syna. Więc teraz sama będę

spoglądać, jak to jej dziecko cierpi pod moim uciskiem. Lecz na wyłupanie oczu i okaleczanie przyjdzie jeszcze czas. Dlatego mam nadzieję, że twój ojciec dobrze cię wyszkolił i na arenie zbyt szybko nie skonasz. Ponieważ najpierw pragnę na tobie należycie zarobić.

Po tym wyznaniu kiwam tylko bez wyrazu głową i razem z Nail daję się spokojnie poprowadzić. Wkrótce jesteśmy wspólnie zamknięci w klatce na wozie i oznajmione nam zostaje, że udajemy się między mury szkoły gladiatorów, tej samej, w której walczyła niegdyś moja matka. I choć obecnie jej właścicielką jest Adora, kobieta wyzwolona przez mityczną Anreę, to wspomniana szkoła wciąż nosi imię Artusa. I dowiaduję się, że niepojętym dla mnie zrzędzeniem losu, nadal głównym nadzorcą jest tam nie kto inny, jak Pajos. Mężczyzna, którego Adora używa jako narzędzia prawdziwego okrucieństwa, jakie ponoć zawitało do cesarstwa i coraz bardziej się w nim rozprzestrzenia odkąd Terraticos dostało się pod bezpośrednie władanie mściwego Boga Arezara.



VI. KOSZARY

Doświadczam czegoś zupełnie nowego, otóż tym razem to mi samemu kręci się w oku łza. Siedzę obok Nail w naszej celi w koszarach gladiatorów i spoglądam na szarą ścianę oświetlaną blaskiem zapalanej pochodni. Na chropowatej, kamiennej fakturze widnieje wyryte serce, a w jego wnętrzu nakreślone są dwa imiona – Anrea i Aves.

Tak, Zan wspominał mi kim był dla mej matki ten mężczyzna, którego imię po części noszę. Był on ponoć niejako moim drugim ojcem, kimś, kto skradł serce Anrei.

Przytulam do siebie Nail i zastanawiam się usilnie, co też mogę uczynić, aby ją ochronić i siebie. Co mam zrobić, aby w tym okrutnym świecie walk gladiatorów na śmierć i życie na arenie niebawem nie rozłączyła nas bezwzględna śmierć, jak Anrei oraz Avesa. Na szczęście przypominam sobie, że dziewczyna koło mnie potrafi walczyć. Lecz czy i na jak długo nam to wystarczy, by przetrwać?

Snując takie rozważania, odchylam się od ściany i ciężko opieram o żelazne kraty celi. Czuję ich chłód na plecach i to, jak wpijają mi się w ciało. Gdybym tylko miał tyle sił, aby je odgiąć i uciec stąd z Nail. Ale nie mam, mimo że jestem synem Bogini.

Natomiast zupełnie nieoczekiwanie mam zaraz pętlę zarzuconą na szyję prosto zza krat. Ktoś, kto tam stanął niepostrzeżenie, właśnie zaciska sznur na mym gardle i zaczyna mnie dusić!

Łapię za linę, ale to nic nie daje. A jednocześnie spoglądam rozpaczliwie na Nail. Wiedzę, że jest przerażona i trwożnie rozkłada ręce, okazując swoją bezradność. Odchodzi ona krok do tyłu, a wtedy ucisk na mojej szyi nieco się luzuje, dzięki czemu ponownie mogę zaczerpnąć choć odrobinę powietrza do płuc. Czynię to, gdy do mych uszu dochodzi skierowany do Nail pełen żądy, męski głos:

– Dobrze, suko, a teraz zrzuć swoje łańchmany i podejdź do mnie, tyłem...– Nail zastyga w bezruchu, a wówczas sznur na mej szyi znowuż silniej się zaciska, odbierając mi oddech. W odpowiedzi dziewczyna szybko się rozbiera i błagalnie wyciąga przed siebie ręce. – Widzę, że już rozumiesz, suko... – mówi wzgardliwie mężczyzna, a ja skąpo oddycham z powodu większej swobody na gardle. – Chodź tu... – pada ponowne żądanie. Tym razem Nail czyni krzywy grymas na twarzy, ale postępuje aż tuż przede mną, po czym przylega tyłem do krat... – Doskonale... – chrypi mężczyzna i zaraz głośno postępuje, a ja widzę przed sobą jedynie miarowo podrygujące uda Nail. Jestem obecnie czystą rozpaczą i nienawiścią, a także niemocą w jednym. Równocześnie cały czas z powodu niedostatku powietrza jestem na granicy utraty świadomości, gdy lina na mej szyi, co raz trochę bardziej się rozluźnia, to zaciska. Ten okrutny taniec życia i śmierci trwa tak długo, aż mężczyzna chrypi z wielką ulgą i zaraz drwiąco rzuca: – Uratowałam swym chętnym ciałem swego chłoptasia, ale do dopiero początek waszej katorgi, zapewniam. I wiedzcie, że będę w waszym pobliżu, zawsze, przez cały czas... – Po tych słowach puszcza linę i wreszcie mogę zaczerpnąć do płuc tyle powietrza, ile tylko zapragnę. Czynię to, dusząc się i oglądając za siebie. Zauważam postać potężnego, łysego mężczyzny z tatuażem pajęczyny na czaszce oraz wytatuowanym pajakiem pod okiem. Ponadto ten typ posiada oszpecającą bliznę na prawym policzku, która przypomina zasklepioną ranę po grocie. Teraz już wiem z kim mam do czynienia, to Pajos, żywa legenda tego przeklętego miejsca i prawdziwe przekleństwo dla żyjących tu istot.

W tym momencie przenoszę wzrok na Nail. Odchodzi on w kąt celi i szczerze nakrywa kocem, jakby pragnąc się skryć przed całym światem. Kiedy w miarę dochodzę do siebie i pragnę ją jakoś pocieszyć, tylko odpycha mnie i czyni to raz za razem.

Czuję się podle, jak chyba nigdy w życiu. Lecz moje życie właśnie nabiera innego wymiaru. Za nic mam teraz zjednoczenie Pendorum, która to idea raptem wydaje mi się śmieszna i niedorzeczna, jak z jakiejś naiwnej baśni. Oto obecnie pragnę jedynie zemsty. Poprzysięgam sobie ponad wszystko, że dokonam tego, czego nie zdołała uczynić moja matka, chociaż powinna. Otóż zgładzę okrutnie mężczyznę, który właśnie tak skrzywdził mą ukochaną. Tak, ukochaną. Oczywiście, że ciągle noszę miłość do Nail w

swym sercu, przecież to wiem. Ostatecznie to zrozumiałem właśnie teraz, gdy bycie świadkiem jej cierpienia, było dla mnie największą możliwą katorgą. Bólem, za który bez wahania oddałbym własne życie, a z radością odebrał cudze, Pajosa.

*

Wciąż mam w sobie ten gniew, wręcz czuję, jak we mnie wrze, buzuje, ale nie nieokiełznany, zamierzam wykorzystać go konstruktywnie. Skupię w sobie wszystkie możliwe siły i pozwolę nam razem przetrwać, mi oraz Nail.

Z tą myślą po raz pierwszy wychodzę z dziewczyną na ćwiczebny plac, ale tutejszy widok mnie zaskakuje. Niegdyś wypytywałem ojca o to, w jakich warunkach żyła moja matka w szkole gladiatorów Artusa. Jednakże obecnie odnoszę wrażenie, że trafiam w zupełnie odmienne miejsce.

Pierwsze, co rzuca mi się w oczy to okazały totem na środku placu. Jest on wysoki i gruby, a zdobi go rzeźba skrzydlatego człowieka z głową psa, postać Boga Arezara. Zaś do jego czterech stron przywiązani są zakatowani ludzie. Są cali we krwi i poryci głębokimi ranami. Chyba tylko jeden z nich jeszcze ledwo żyje bądź jestem świadkiem pośmiertnych spazmów od kurczących się mięśni nieszczęśnika. Natomiast ponad ofiarami wiszą na łańcuchach ludzkie kości w tym liczne bielejące czaszki. Także sam plac nie jest wyłącznie pokryty żółtym piaskiem, a w wielu miejscach znaczy go czerwona krew. Z kolei w rogu dostrzegam grupę mężczyzn i kobiet bezwzględnie katujących jakąś półnągą postać. Ponadto obok strażników przechadza się z pejcami kilka amazonek z Legionu Śmierci widzianych już przeze mnie na ulicach Etos.

– Czas zapracować na popołudniową strawę, zatem ćwiczcie, wy, ludzkie ścierwa, w imię wielkiego Boga Arezara! – rozlega się naraz tubalny, męski głos. Pochodzi on od wyposażonego w bicz Pajosa, który to mężczyzna kłania się wpół amazonkom, po czym znowu zdziera gardło: – Ćwiczcie i bądźcie posłuszni naszej pani, Adorze oraz jej panu, walecznemu Arezarowi albo kończcie swój żywot, jako krwawe ofiary dla wspomnianego, jedyne go, prawdziwego Boga!

– Arezar łaknie krwi! Arezar łaknie krwi! – grzmią w odzewie zgodnie strażnicy. Zaś Pajos wskazuje biczem na totem, a zaraz smaga pejczem w

moim kierunku, lecz dosięga pleców Nail, zostawiając na nich krwawą pręgę.

Zagryzam zęby w gniewnym grymasie, gotowy rzucić się z gołymi pięściami na Pajosa. Lecz powstrzymuje mnie ona, Nail. Odpycha mnie w kierunku miejsca z ćwiczebnym orężem i tym razem widzę w jej oczach prośbę. Głęboko wzdycham i ulegam, po czym staram się opanować. Jednocześnie mój wzrok spoczywa na ćwiczebnym orężu i zauważam, iż jest ono w całości drewniane.

Więc strażnicy oraz nadzorcy wyposażeni w prawdziwy oręż mają tu nad niewolnikami znaczącą przewagę i ciężko będzie wszcząć bunt. Myślę tak i zaraz dochodzę do wniosku, że wspomniane osoby posiadają też inne atuty. Mianowicie brak solidarności wśród gladiatorów. Dochodzą bowiem do mych uszu gardłowe gniewne krzyki z ćwiczebnego placu i widzę, że dwóch zniewolonych wojowników gołymi rękoma próbuje się nawzajem zgładzić. Nie wiem, co jest przyczyną ich sporu, ani o co walczą. Lecz zadają sobie coraz mocniejsze ciosy w tym trwale okaleczające twarz. Z wyłupionych oczu i rozerwanych ust obficie płynie krew, aż jeden z mężczyzn daje się pochwycić w objęcia drugiemu, co skutkuje skręceniem mu karku.

– Gladiator Olympus zasłużył właśnie na dodatkową porcję owsianki z krwią, ha! – drze się raptem Pasjos. – Natomiast bezimienne ścierwo, które leży żałośnie u jego stóp, oddajcie psom. Na totemie, ku przestrodze, wisi już dość świeżych zwłok!

Wobec tej sceny chwytam za ramię Nail i odwracam ją tak, aby dalej nie musiała tego krwawego przedstawienia oglądać. Choć zaraz zdaję sobie sprawę, że jej oblicze jest całkiem spokojne, podczas gdy to moje wnętrze niemal się wykręcają i ciągnie mnie na wymioty.

Cóż rzec, ostatnio pojawia się w moim życiu coś nowego, sam zaczynam zabijać, ale nie nawykłem jeszcze całkiem do oglądania ludzkiej śmierci i czasem czuję z tego powodu słabość. Lecz wiem, że muszę ją czym prędzej ostatecznie pokonać, w tym świecie nie ma bowiem miejsca na sentymenty. Dlatego zbieram się w sobie i uzbrajam w dwa drewniane miecze. Również Nail chwytam analogiczny oręż i rozpoczynamy ćwiczebną walkę.

Początkowo zupełnie nie mogę się skoncentrować i czynię jedynie uniki oraz zachowawcze kroki do tyłu. Aż naraz zastygam jak zamurowany, kiedy moich pleców dosięga pręgowany bicz.

– Walcz jak mężczyzna! Albo przynajmniej, jak ta dziwka Pendorum, wywłoka, twoja matka, którą zawsze miałem na zawołanie! – wrzeszczy wzgardliwie Pajos. W odpowiedzi posyłam mu nienawistne spojrzenie i raptem rzucam się z mieczami na Nail, zupełnie jakby to ona była moim prawdziwym wrogiem.

Podbijam jej ostrze swoim, drugim uderzam ją w nadgarstek i z półobrotu wymierzam kopniak prosto w pierś. Dziewczyna traci swój oręż i jak rażona piorunem leci na plecy prosto na zakrwawiony piasek. A ja ciągle muszę słuchać zza pleców nienawistnych połajanek Pajosa.

– Marnie, po prostu żałośnie! I nawet nie próbuj uszkodzić tego kobiecego towaru, bo niebawem znowu zechcę się z nim zabawić, ha!

Z największym trudem zbywam te słowa. Wbijam jeden z mieczy w ziemię i podaję rękę Nail. Ona krzywi się na twarzy, ale daje mi się podźwignąć. Wtedy ją obejmuję i szepczę do ucha:

– Wybacz mi albo i nie, ale podczas treningu nie będę miał dla ciebie cienia litości. Wkrótce trafimy na arenę, gdzie nie będzie drewnianych ostrzy, a wówczas musisz być silna i nie możesz dać się trafić, nikomu, rozumiesz? Dlatego od teraz będę cię uczył bezwzględności. To jedyny sposób – kończę wywód, po czym odchyłam się od Nail i uderzam ją pięścią w brzuch. A kiedy zgina się wpool, popycham ją i z powrotem pada ona na piasek.

– Jak dzieci! – drwi na ten widok Pajos i ponownie smaga me plecy batem. Wytrzymuję to i wskazuję Nail, aby chwyciła miecze. Obecnie dziewczyna nie spuszcza ze mnie podejrzliwego wzroku, uzbrajając się bardzo powoli. O to chodzi – myślę i markuję atak. Nail dość nieudolnie się zasłania, więc znów czynię to, co zapowiedziałem, co muszę. Uderzeniami drewnianych ostrzy w nadgarstki dziewczyny obezwładniam ją, a kopniakiem w brzuch składam zwijającą się z bólu na piasek.

Mam przykrą świadomość, że seria tak brutalnych treningów może sprawić, iż ta bliska memu sercu osoba mnie wręcz znienawidzi. Niewątpliwie zaś nie będziemy wspólnie kreślić serc z imionami na ścianie

w naszej celi. Ale jeżeli będzie to cena za jej przeżycie, to jestem ją gotów zapłacić i nie zamierzam się wahać ani trochę.

W samo południe, w porze posiłku, jeden z nadzorców wskazuje mi oraz Nail miejsce za ławą. Zasiadamy tam w otoczeniu kilku innych mężczyzn i kobiet, którzy także trenowali na ćwiczebnym placu.

Pomiędzy nami, na blacie, znajdują się miski, a każda z nich jest napełniana przez postawną staruszkę cienką owsianką, w której pływa kilka zielonych liści. Natomiast pośrodku ławy stoi obszerna gliniana waza z krwistą cieczą.

Zanim wezmę łyżkę do ręki i zacznę jeść, wskazując na czerwoną ciecz, zwracam się do siedzącego naprzeciw mnie mężczyzny z szeroką szramą na czole.

– Czy to jest napój Harremid? – Osobnik ten nie raczy nawet na mnie spojrzeć, tylko łapczywie bierze się do swojej owsianki. – Pytałem, czy to napój Harremid! – Uderzam gniewnie pięścią w ławę. – Na co mężczyzna z blizną obdarza mnie podejrzliwym spojrzeniem, a odpowiedzi udziela zasiadająca koło niego wychudzona kobieta w skołtunionych, czarnych włosach.

– Nikt tu już nie jest raczony napojem Harremid, przybyszu. Obecni władcy Terraticos pragną oglądać krwawe walki z udziałem ciężarnych kobiet, niech będą przeklęci. A to, na co patrzysz, to zwykła krew, ludzka krew... Ta akurat należy do mężczyzny, który dziś został zabity na placu, zresztą widziałeś jego śmierć.

– I lepiej pij tę krew... – chrypi mężczyzna z blizną. – Inaczej zagłodzą cię tu niemal na śmierć, osłabiesz i szybko zginiesz. Na arenie albo nawet tu, na palcu...

Na te odrażające wieści nic nie odpowiadam. A czując na sobie wzrok Nail, odwzajemniam jej spojrzenie i kręcę przecząco głową. Nie, nie będziemy przyjmować ludzkiej krwi do ust, musi być inny sposób, by przetrwać w tym odrażającym miejscu, się w nim ostatecznie nie upadając.

Po skąpym posiłku powracam do treningu z Nail. A gdy jesteśmy w zwarcu, przytrzymuję ją i szepczę, abyśmy skoncentrowali się na technice walki, a oszczędzali siły. W obecnej sytuacji nie możemy ich zbyt wiele trwonić.

Niestety ciężko jest utrzymać lżejszy rytm treningu, będąc co raz pod czujnym wzrokiem Pajosa, który nie szczędzi bata wobec braku dynamiki naszych starć. Lecz wszystko, co mogę uczynić, to ustawiać się tak, aby brać razy biczem na własne plecy.

Niestety pomimo to, kiedy na noc trafiamy do naszej celi, Nail jest wręcz wycieńczona. Chcę się do nie przytulić, ale resztkami sił mnie odpycha. Nie próbuję ponownie nieść jej pociechy, tylko szukam sobie miejsca w drugim kącie celi, przezornie z daleka od krat.

Zdaję sobie sprawę, że ta dziewczyna nigdy nie miała lekko. Ale to, przez co teraz przechodzi, zapewne gorsze jest od wszystkiego innego. Zaś ja? Wspominam życie na wyspie bez nazwy jako beztroską sielankę, gdzie w jakiś dziecinny sposób łudziłem się, że podobnie wygląda cały świat. Okazuje się jednak, że ci dobrzy wcale nie zwyciężają z racji samej dobroci, a źli nie zapadają się w otchłań od mroku w sobie. Jednakże wciąż powtarzam do siebie w duchu, że nie mogę być słaby. Muszę myśleć o Nail i to musi być cały czas moim drogowskazem i źródłem siły. Muszę chronić dziewczynę, którą, o zgrozo, sam tutaj poniekąd sprowadziłem.

*

Po miesiącu treningów ja oraz moja partnerka zostajemy wywołani na placu i poprowadzeni pod eskortą poza mury szkoły Artusa. Po krótkim czasie docieramy do kolistej budowli przypominającej miniaturowe Koloseum.

Na piaszczystej arenie zostaje nam wskazane, abyśmy zajęli miejsce na jej środku, co niniejszym czynimy. Ponadto ofiarowana jest nam ostra broń – cztery krótkie ostrza. Natomiast wśród widowni dostrzegam jedynie zasiadającą na wystawnym fotelu Adorę w otoczeniu grupy kilkunastu strażników.

W pewnym momencie klaszcze ona w dłonie i po obu stronach areny podnoszą się kraty, zza których wychodzą dwa toczące z pysków pianę wściekłe psy.

Spoglądam na jednego, to drugiego, aż wybieram, wydawałoby się silniejsze zwierzę i ustawiam frontem do niego. Nail będzie musiała się zmierzyć z pozostałym przeciwnikiem. Razem z dziewczyną stoimy do siebie plecami, podczas gdy psy, warcząc, podchodzą coraz bliżej.

Aż pierwsza z bestii rzuca się w moją stronę. Zdecydowanie czynię wypad w przykłęku, wyciągając przed siebie ostrze. Rani ono szarżującego psa w pysk i skowycząc, próbuje on obiec miecz i zaatakować mnie z boku. Jednak tu napotyka moje drugie ostrze, którym przejeżdżam mu po żebrach, po czym nie ruszając się z miejsca, unoszę pierwszy miecz i w odpowiednim momencie opuszczam wprost na kark atakującego psa.

Przeciwnik z raptem przeciętym kręgosłupem jest unieszkodliwiony. A ja ruszam na pomoc Nail. Widzę, że drugi pies skacze na nią zajadle i przewraca na plecy. Czym prędzej rzucam się na krwiożerczego czworonoga i w locie chwytam go w pól. Toczę się z nim po pisaku, aż zakładam uchwyt na gardło i miażdżę je, a zaraz dodatkowo skręcam kark.

Wygrywam i nie jest to niespodzianką. W niedostępnych lasach na wyspie bez nazwy ćwiczylem tak walkę z wilkami pod okiem Zana. Zaś moje wysiłki zostają najwyraźniej docenione, ponieważ ciszę przerywa niespieszne klaskanie Adory.

Obrzucam ją lekceważącym spojrzeniem, wstaję i pomagam podźwignąć się do pionu również Nail. Ponownie się uzbrajamy, a wówczas znów skrzypią żelazne bramy.

Tym razem podnoszą się aż cztery z nich i naprzeciw nam wychodzi czwórka jeszcze większych i groźniej wyglądających psów. Zbliżają się do nas, a ja odczuwam na plecach dotyk pleców Nail. Gorączkowo zastanawiam się, jaką obrać strategię, aby nie dopuścić zwierząt do dziewczyny i wkrótce już wiem. Dochodzę do wniosku, że muszę być jak najbliżej niej, by cały czas ją chronić.

Wściekłe psy są już naprawdę blisko nas i jeden po drugim atakują. Pierwszy skacze z mojej prawej strony i zamasyście uderzam go ostrzem, rozcinając głęboko pysk. Zwierz skamle żałością i wycofuje się, a niemal w tym samym czasie słyszę skowyt kolejnej bestii.

Czynię piruet i wiedzę, że Nail wbiła swój miecz w trzewia psa, który w wyskoku szybował na moje plecy. Natychmiast odwdzięczam się, skacząc na przeciwnika, który biegnie na dziewczynę od tyłu. Zderzam się z nim i razem padamy na piasek. Chwytam pospiesznie upuszczony miecz, a drugą ręką łapię za skórę na karku zwierza. Ten próbuje się wyrwać i udaje mu

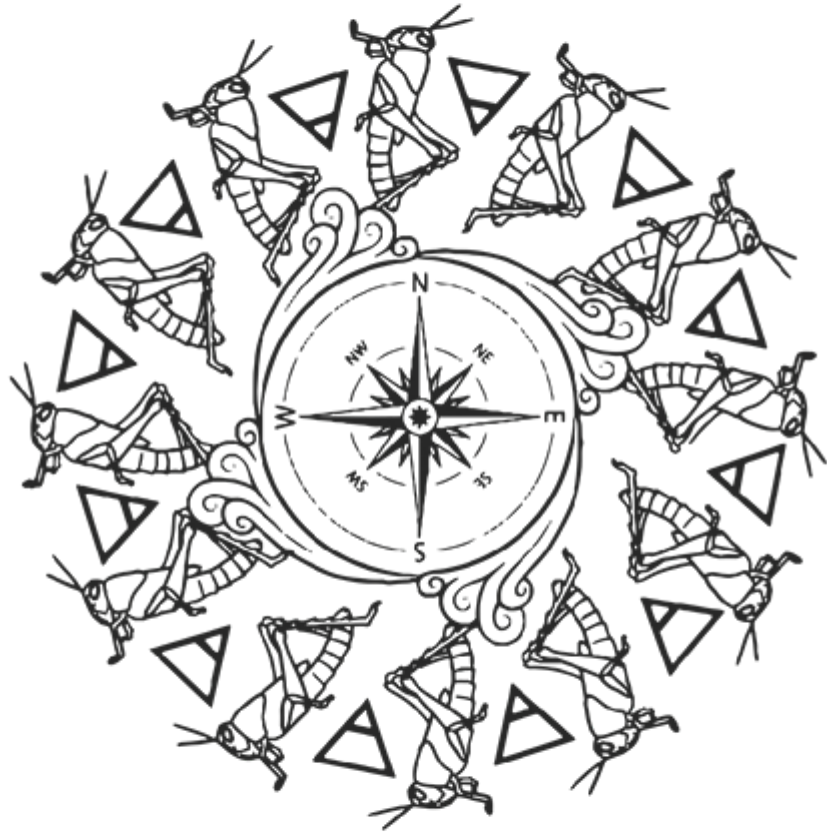
się, lecz skacze na mnie w tej samej chwili, gdy pchnę ku niemu ostrze, którego czubek wbija się daleko w rozwartą gardziel.

Wyjmuję zakrwawioną klingę i rozglądam się za ostatnim przeciwnikiem. Ten szarpie zajadle zębami za udo Nail, a ona dźga jego boki jednym to drugim mieczem. Przeto w te pędy biegnę na odsiecz i potężnym uderzeniem srebrzystej klingi odcinam kłapiący łeb bestii.

W przestrachu spoglądam na udo Nail, ale czuję ulgę, widząc, że rany na jej nodze są tylko powierzchowne. Dziewczyna ociera dłonią swoją krew i kiwa mi głową na znak, że da radę walczyć. Dlatego znowu stajemy plecami do siebie gotowi przetrwać jeszcze cięższą batalię. Gdy naraz rozlega się bezemocjonalny głos Adory:

- Wystarczy.
- Ale...! – charczy, stojący koło niej Pajos.
- Mówię dość.
- Tak... pani... – pokornieje nadzorca, pochylając głowę i uderza się pięścią w tors.
- Nie są jeszcze gotowi. Niech dalej ćwiczą – kwituje obraz oglądanych walk Adora
- Oczywiście... – Pajos nie śmie zaprzeczać.

Więc to był tylko test, którego nie zdaliśmy? A może jednak akt łaski ze strony dawnej towarzyszki mej matki? – myślę sobie, kiedy jest już po wszystkim. I nie wiem tego, ponieważ nie jestem w stanie przeniknąć umysłu tej kobiety, Adory. Z opowieści Zana wiem kim był dla niej Pajos i jaką krzywdę jej swego czasu uczynił. Teraz z kolei jak gdyby nigdy nic stoi on u jej boku i służy. Dlatego żaden werdykt mojej obecnej pani nie jest dla mnie zaskoczeniem. Choć ten akurat przyjmuję z prawdziwą ulgą. Nie schodzimy bowiem z areny pokonani, a mimo to nie zostaniemy w najbliższym czasie wysłani na krwawe igrzyska. Przede wszystkim zaś zapadły wyrok o tym, że mamy dalej ćwiczyć, oszczędza Nail. I za to jedno, pomimo całego czynionego zła, jestem wdzięczny Adorze i nie przeklinam jej. Choć nie wiem, co uczynię, kiedy się wreszcie wyzwolę i jako wolny człowiek stanę naprzeciw niej – czas pokaże.



VII. W MATNI

Ponownie jesteśmy pomiędzy murami szkoły Artusa. Te są wysokie i pilnowane przez strażników oraz trupio blade kobiety – amazonki z Legionu Śmierci. Dlatego o ucieczce nawet nie myślę. Ta wydaje się niemożliwa, także dlatego, że zniewoleni wojownicy są podzieleni, nieufni wobec siebie, a nawet wrodoży. Nikt, również z czempionów, nie cieszy się tu powszechnym poważaniem. Za to tworzą się grupki, które nawzajem patrzą na siebie zawistnie i nieraz same walczą ze sobą na ćwiczebnym placu na śmierć i życie, czyniąc to ku uciechu Pajosa i innych nadzorców. Przez to, poza Nail, stronię od ludzi, jako że nie może spotkać mnie tu od nich nic dobrego. Trzymamy się razem z moją partnerką na uboczu i staramy nie przemęczać podczas treningu ze względu na skromne jadło, to wszystko.

Podobnie jest i teraz. Po niedawnym posiłku, który tym razem okazał się okrutnie przesolonym kleikiem z jęczmienia, z wolna udaję się z Nail wznowić trening. Lecz nadmiar soli w pożywieniu w parze z dojmującym upałem nieznośnie wzmagają pragnienie. Dlatego najpierw idę do studni w rogu placu i czerpię stamtąd wodę, którą w wiadrze przynoszę do Nail.

Jednak po przybyciu do dziewczyny jestem świadkiem, jak obłapia ją dwóch dryblasów, w tym znany mi już człowiek z blizną na czole.

– Zostawcie ją... – mówię zmęczonym głosem, aby nie brzmieć zbyt wyzywająco i nie prowokować do niepotrzebnej walki. – Zostawcie – naciskam bardziej zdecydowanie w obliczu braku reakcji. Ale moje słowa nadal wydają się trafiać w pustkę, bo jeden z mężczyzn z kąśliwym uśmiechem na ustach popycha Nail do drugiego. – Dość tego! – Tym razem zwracam się sam do siebie. Odkładam wiadro z wodą, chwytam pierwszego z typów za ramię i odwracam w swoją stronę. A wtedy wymierzony zostaje we mnie cios pięścią. Zwinnie się uchylam i zadaję potężne uderzenie

kolanem w brzuch, po czym poprawiam łokciem w plecy i tym sposobem bez trudu kładę przeciwnika na piasek. Następnie kieruję się do drugiego.

Ten popycha ku mnie Nail. Jednak ją omijam i sam zadaję cios kopniakiem z półobrotu w zbliżoną twarz mężczyzny, który także pada na piaszczystą nawierzchnię.

Załatwione – myślę, przyglądając się pełznącym przeciwnikom. Zaś to, że tak łatwo padli pod moimi ciosami, nie jest żadnym zaskoczeniem. Zanim zmarła moja matka, przekazała Zanowi naukę walki wręcz, jaką zyskała od pewnego wojownika zwanego Larisem. Z kolei mój ojciec przekazał tę wiedzę mi i obecnie czynię z niej należyty użytek.

Po krótkiej walce otrzepuję ręce, jak po kontakcie z czymś brudnym i okręcam się na pięcie w kierunku Nail. Gdy wtem na moją głowę gwałtownie opuszczone zostaje masywne wiadro, w którym przyniosłem wodę. Po ciosie w skroń czuję się zamroczony i chwieję na nogach. A zaraz czuję ostry ból w trzewiach. Spoglądam na brzuch i widzę czyjąś rękę z długim, zardzewiałym gwoździem, którego przednia część mnie rani. Następnie, otoczony przez grupkę mężczyzn i kobiet, zostaję pchnięty na piasek i zewsząd sypią się na mnie kopniaki i uderzenia pięściami. Trwa to tak długo, aż słyszę nad sobą leniwy głos Pajosa:

– Dobra robota, ale już wystarczy... Ten egzemplarz jest zbyt drogi, aby tu tak po prostu zdechł, jak pies...

Niemilosierne poobijany i z krwawiącą raną z brzucha jestem wzięty pod ramiona i zawleczony do swojej celi. Tam odpoczywam, ale gdy kolejnego dnia pragnę wstać, orientuję się, że jest ze mną źle. Me ciało zalewa nieznośne gorąco i obficie zraszam się potem. Próbuję się podźwignąć, ale mą twarz wykrzywia grymas bólu i kurczowo ściskam się za ranę w brzuchu. Moje dłonie trafiają na bandaż, a wzrok na spoczywającej koło mnie Nail. Jej wielce strokana mina potwierdza moje obawy.

– „Rana uległa zakażeniu. Leż spokojnie” – gestykułuje dziewczyna. – Czuję, że siły opuszczają mnie w błyskawicznym tempie i dlatego nie wzbraniam się, tylko pozostaję na posłaniu. Zwracam zamglony wzrok ku Nail i zauważam, że staje ona przy kratkach, po czym tłucze w nie zawzięcie glinianym kubkiem.

Po dłuższym czasie pojawia się przy kratkach Pajos, a dziewczyna coś do niego gestykuje. On uśmiecha się lubieżnie, ogniskując wzrok na jej piersiach, a następnie otwiera drzwi celi. Nail opuszcza nisko głowę i powoli odchodzi razem z nadzorcą.

Nie chcę wiedzieć, gdzie zmierza i w jakim celu. To wszystko, co się wydarza, pragnąłbym wziąć za senny majak, koszmar zrodzony z gorączki. Dlatego mocno zamykam oczy i wraz z ich ponownym otwarciem pragnę się przebudzić. Tak, przebudzić. Najlepiej w momencie, gdy wsiadam na statek wiozący mnie na kontynent Pendorum, gdzie po raz pierwszy spotykam Nail. W tej alternatywnej rzeczywistości staję przy Zacharze i sięgam także do drugiej kieszeni, po czym wyjmuję wszystkie posiadane przeze mnie monety. W ten sposób wykupuję z niewoli czarnowłosą dziewczynę i razem powracamy do jej domu na Wyspę Czarnego Piasku lub na moją, bezimienną. Tam stajemy się sobie wiernymi mężem oraz żoną i odtąd żyjemy w dobrobycie i prawdziwym pokoju z gromadką dzieci u boku. Lecz smutna prawda jest taka, że mogę tylko o tym śnić, by nie przeklinać na jawie tego, iż takiego snu swego czasu nie urzeczywistniłem.

Tymczasem jawa i sen nieustannie mieszają mi się i czas spędzony w malignie przedzielany jest widokiem klęczącej przy mnie Nail, która wlewa mi do gardła pożywne soki z owoców i karmi winogronami. A może jednak to właśnie jest sen? Naprawdę już nie wiem. W końcu skąd ma ukochana znalazłaby w tym piekle takie dobroci?

Niemniej za ich sprawą bądź też z innego powodu pewnego razu otwieram oczy i stwierdzam, że odzyskuję klarowność zmysłów, jak również namiastkę sił. Przeto wspieram się na łokcie i z ulgą siadam bez bólu.

Niebawem wstaję i rytmicznie oddycham, jakby z każdym zaczerpnięciem tchu do płuc, nabierając więcej życiowej energii. To technika powracania do równowagi Kan Li przekazana mi przez mych rodziców podobnie jak umiejętność sztuk walki.

Aż raptem ktoś staje przed drzwiami celi i rozczarowany dostrzegam, że nie jest to Nail. Pojawia się tam Pajos, który z drwiącym uśmiechem otwiera celę i przyzywa mnie gestem dłoni. Czynię kwaśny wyraz twarzy, ale idę za tym wskazaniem i udaję się w ślad za nadzorcą.

Chwiejnym krokiem jestem poprowadzony ciemnym korytarzem aż na piaszczysty, ćwiczebny plac. Tu przysłaniam ręką czoło od witających mnie ostrych promieni słońca. Jednak te, jakby jeszcze dodają mi sił i po ciepłym piasku kroczę już całkiem pewnie.

Widzę, że nikt z ćwiczących nie zwraca na mnie szczególnej uwagi. Ja sam, zaniepokojony, nigdzie nie zauważam Nail. Spoglądam nerwowo na Pajosa, a ten pokazuje mi drewniane drzwi z rzeźbieniem Boga Arezara. Jest to przejście prowadzące do pomieszczeń dla wolnych ludzi, którego niewolnikom zwykle nie wolno przekraczać.

Niepewnie, ale idę tam w towarzystwie nadzorcy, zdeterminowany, by odnaleźć Nail. Mijam gładkie, białe ściany, które wydają się wręcz nieskazitelne. A z czasem zdobią je wielobarwne malunki pięknych pejzaży i widoków ożywczej natury. Stoją tu też kosze z kwiatami, jak i rośliny w donicach. Aż docieram do szeregu drewnianych drzwi, gdzie Pajos wstrzymuje mnie ręką.

Nie pozwala mi przekroczyć wrót, lecz na wysokości moich oczu odsuwa lufcik i daje zerknąć do środka. Czynię to, a jednocześnie me dłonie zaciskają się w pięści.

W wykwintnym pokoju zauważam nagą Nail w białej pościeli. Stoi ona na czworakach, a za jej pośladkami widzę starszego, siwego mężczyznę. Ten wodzi palcami po dziewczęcych plecach, po czym dosięga nimi łakomie piersi, które ściska. Zaś drugi kochanek spoczywa przy dziewczęcej głowie i z uśmiechem na ustach karmi Nail winogronami.

Winogrona... – wspominam swoje ostatnie posiłki w celi. Gwałtownie odskakuję od lufcika w drzwiach i spoglądam na Pajosa. Dostrzegam jego ohydny jak nigdy, niezwykle szeroki uśmiech. I już zamierzam się rzucić na nadzorcę, kiedy za jego plecami zaważam parę zbrojnych strażników w gotowości.

Z tą chwilą dochodzą mnie rozkoszne, męskie pojękiwania z pokoju, gdzie przebywa Nail i to odbiera mi resztę ochoty do walki. Daję się wyprowadzić na plac i dalej aż do mej celi.

Po dłuższym czasie pojawia się przy mnie Nail. Obdarza mnie promiennym, aczkolwiek nieco zmieszonym uśmiechem i stawia przede mną kosz z owocami.

– „Jedz, nabieraj sił” – gestykuluje dziewczyna.

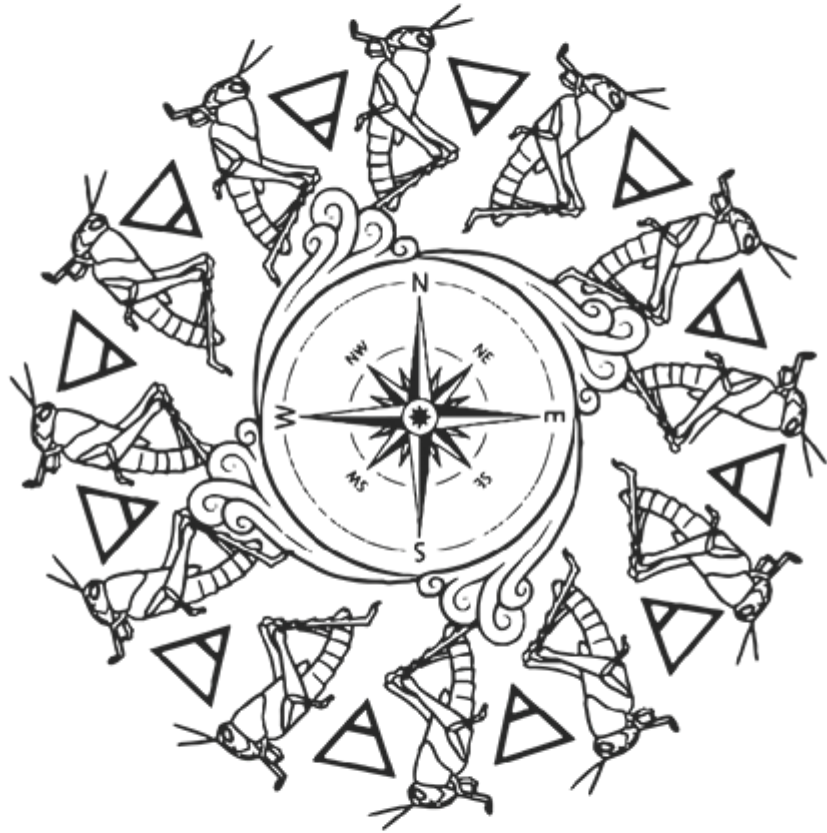
Słowa więzną mi w gardle, ale nie jestem w stanie milczeć, dlatego cedzę przez zęby:

– Wiem, skąd pochodzą te dar natury i w jaki sposób się o nie postarałaś... – Wobec tego wyznania Nail zastyga ze śmiertelnie poważną miną i lekko podnosi ręce przed twarz, jakby przyjmując gardę przed spodziewanym ciosem. Czy naprawdę wierzy, że tak chciałbym ją karać? Karać za to, że upodliła się, aby ratować me życie? – Przyzwij Pajosa: – oznajmiam zdecydowanie. Dziewczyna niepewnie, ale czyni to i niebawem zwabia nadzorcę stukaniem glinianego kubka o kraty. Wtedy oświadczam, że jestem już gotowy do wznowienia treningu, na co Pajos obojętnie otwiera drzwi.

Wkrótce ponownie jestem na placu, mając u boku Nail. Akurat jest pora posiłku i gladiatorzy zbierają się przy dwóch ławach, gdzie podaje się lepsze i gorsze jado, odpowiednio dla zasłużonych wojowników i tych niżej w hierarchii. Jednak ja nigdy już nie pozwolę, aby Nail zasiadała przy skromniejszej ławie i musiała sprzedawać swe ciało za normalną strawę.

W związku z tym staję przy grupie osób, które posilają się warzywami, mięsem i chlebem. Rozpoznaję tych, którzy swego czasu mnie zaatakowali. Bezceremonialnie łapię pierwszego z nich za kark i skręcam go. Drugiego chwytam za włosy i z całych sił wciskam mu twarz w jeszcze niemal wrzącą zupę w misce. Pozostali przyglądają mi się zastygli, zupełnie jakby zobaczyli ożywionego upiora. Ja zaś trzymam twarz podrygującego mężczyzny w gorącej zupie tak długo, aż ten topi się w swym jadle i całkiem wiotczeje. Dopiero wtedy ukazuję pozostałym jego martwe, poparzone oblicze. Demonstruję je dłuższy czas obecnym, aby zrozumieli, co może ich spotkać, jeżeli ponownie wejdą mi w drogę.

Następnie odrzucam od ławy dwa świeże truchła i przyzywam do siebie Nail. Zajmuję zwolnione miejsce, a na drugim zasiada dziewczyna. Zanim zacznę jeść kolejno wodzę surowym wzrokiem po pozostałych. Jednak po mojej prezentacji brutalnej siły, żaden z nich nie ma ochoty iść ze mną na konfrontację i powracają do przerwanych posiłków. Wobec tego sam zaczynam się pożywiać i do tego samego zachęcam Nail.



VIII. W MROKU

Wreszcie nieubłaganie nadchodzi to, co nieuniknione. Miasto Rakus zostaje krwawo odbite przez Arezara z rąk imperium Pendorum i z tego powodu na tamtejszej arenie odbędą się igrzyska ku chwale odniesionego zwycięstwa.

Ze szkoły Artusa do podziemi na arenie wspomnianego miasta przetransportowanych zostaje czwórka gladiatorów, w tym ja i Nail. Na miejscu spędzamy pół dnia w ciemnej, zatęchłej celi. Kiedy zaś przyprohwadzeni zostajemy do przedsionka areny, nastaje już czarna, bezgwiezdna noc. Mrok wydaje się wręcz nieprzenikniony, ponieważ dodatkowo trwa nów.

Tymczasem nadzorcy każą nam, wszystkim wojownikom biorącym udział w turnieju, stanąć w szeregu pod ścianą. Czynimy to, a wówczas zakładane są nam szczelne zasłony na głowy, a w ręce wciskany różnorodny oręż. Osobiście otrzymuję dwuręczny miecz.

Potem prowadzeni jesteśmy wprost na arenę. Wiem to, ponieważ nagle wokół towarzyszą nam westchnięcia i pomruki niezliczonej ilości ludzi znajdujących się ponad nami.

Wkrótce ktoś usadza mnie w miejscu, gdzie czuję żar płomieni i naraz zostaje odwiązana z mojego kaptura tasiemka zasłaniająca do tej pory me oczy. W tym momencie ukazuje mi się zaiste napawający trwogą i niecodzienny widok.

Na zatopionej w ciemnościach arenie dostrzegam rozświetlających ją kilkanaście płonących krzyży. Na każdym z nich pali się martwy człowiek. Ponadto przy każdym krzyżu stoi zakapturzony gladiator. I wiem, że jednym z nich jest moja Nail.

A zaraz słyszę z ust oratora, że czas rozpocząć walkę i krwawy piach areny może opuścić ostatecznie tylko jedna osoba. Kto się nie

podporządkuje temu dyktatowi i przykładowo odmówi walki lub ściągnie sobie zasłonę z twarzy, zostanie zabity.

Mimo tej złowrogiej zapowiedzi my, gladiatorzy stoimy dłuższy czas jak zahipnotyzowani. Te okrutne reguły są szokiem i czymś nowym dla każdego nas, ponieważ mamy walczyć, wiedząc, że wśród przeciwników będziemy zabijać naszych przyjaciół. Tak to zaplanowano.

Aż naraz z trybun posłana zostaje salwa strzał, która dosięga jednego ze zniewolonych wojowników i ten pada konający na płonący krzyż. Obejmuje go kurczowo w konwulsjach i sam zajmuje się płomieniami. Daje się słyszeć jego potępieńcze wycie, a wtóruje mu przetaczające się po trybunach przejmujące westchnięcie widzów.

Jednocześnie śmierć pierwszego wojownika nie pozostawia złudzeń pozostały, co do ich losu, jeżeli nie podejmą walki. W efekcie dostrzegam na arenie ruch i zaraz najbliższy mnie gladiator zarzuca na mnie sieć, po czym dźga w moim kierunku harpunem z ości tuńczyka.

A więc walka na śmierć i życie na arenie właśnie się rozpoczyna.

Zachowawczo chowam się za płonący krzyż i bacznie przyglądam przeciwnikowi. Po jego ruchach pragnę go zdemaskować na tyle, aby nabrać pewności, że to nie Nail. Po chwili mam już niemal pewność, iż to nie ona, a wtedy z całych sił uderzam w płonący krzyż. W wyniku ciosu posyłam na gladiatora snop iskier i rozżarzone węgle. Ten próbuje osłonić się dłońmi przed dojmującym żarem, a ja rzucam się na niego i jednym ciosem po skosie potężnie rozcinam mu klatkę piersiową. Pada on konający na piach i daje mi ściągnąć sobie z głowy kaptur. Tak, to nie Nail, nie Nail... – powtarzam z ulgą w duchu. To jakiś nieznan mi mężczyzna.

Na dłuższą chwilę zastygam w przykłęku nad truchłem, po czym raptownie paruję wymierzony we mnie cios toporem. Ciągłe klęcząc, wykonuję wślizg na nogi atakującego przeciwnika i przewracam go. A gdy pada, próbuję mu ściągnąć kaptur. Jednak rywal mi się wyślizguje. Uderza mnie kantem tarczy w głowę i odtacza się na bok. Oszołomiony wstaję, co czyni także mój przeciwnik. Moment mierzymy się wzrokiem, aż ponownie szybuje na mnie topór, który podbijam ostrzem miecza i od razu wyprowadzam piorunujące uderzenie w sam środek drewnianej tarczy. Ta przełamuje się na pół, a ja znów atakuję. Lecz tuż przed głową rywala,

wstrzymuję cios. Topornik zastyga zaskoczony, ale wykorzystuje on moje zawahanie się i tnie mnie w udo. Rana nie jest głęboka, jednak odnoszę niepokojące wrażenie, że zadana w stylu prezentowanym przez Nail. Także z postury i domniemanej płci, postać przede mną podejrzewam o to, że może być ona mą ukochaną dziewczyną. Dlatego czynię krok do tyłu, gdy wtem osoba przede mną zostaje zaatakowana w plecy.

– Uważaj! – krzyczę rozpaczliwie, ale jest już za późno. Postać, z którą do tej pory walczyłem, zamiera w bezruchu, a spomiędzy jej piersi wystaje ociekający krwią czubek miecza. – Nie! – wyrzucam z siebie i biegnę na odsiecz. Obiegam śmiertelnie zranioną istotę, a sprawcę skutecznego ataku taranuję barkiem. Mój kolejny wróg leci w powietrzu, a zanim padnie na piasek, uderzam go zamasyście mieczem w bok, gdzie roztrzaskuję żebra i zatapiam klingę w miękkiej tkance. Następnie zastygam w miejscu i rozglądam się po placu.

Uzmysławiam sobie, że na arenie wszyscy pozostali wojownicy pokonali już siebie nawzajem, polegali. A skoro tak, to koncentruję wzrok na postaci, którą brałem za Nail, a która z głęboką raną w klatce piersiowej leży na piasku i wypuszcza z ust płynącą obficie krew. Rozpoznaję to po rozchodzącej się wilgoci na materiale kaptura. Ściągam go powoli z duszą na ramieniu i dostrzegam, że to nie Nail. To nie Nail, a zatem...

Porywam się jak oszalały do osoby, której przed chwilą strzaskałem bok i drżącymi rękoma zdejmuję zasłonę z twarzy. I nagle odskakuję jak oparzony. Oto spoczywa przede mną bez życia Nail, właśnie ona. Dziewczyna, moja ukochana, która sam, czyżby śmiertelnie, ranię?

Chwytam się za głowę i kręcę nią z koszmarnym niedowierzaniem. A towarzyszy mi słodkawy zapach pieczonego, ludzkiego mięsa, z przewracających się, dopalających krzyży, jak również wrzask. Ten przeklęty piskliwy krzyk pochodzący od setek amazoнок z Legionu Śmierci. Kobiet, które tłumnie oblegają miejsce na trybunach ze złotym tronem Arezara, gdzie zasiada dumnie on sam. Podczas gdy na części siedzeń zajmowanych przez ludzi z Rakus trwa nieprzerwanie grobowa cisza.

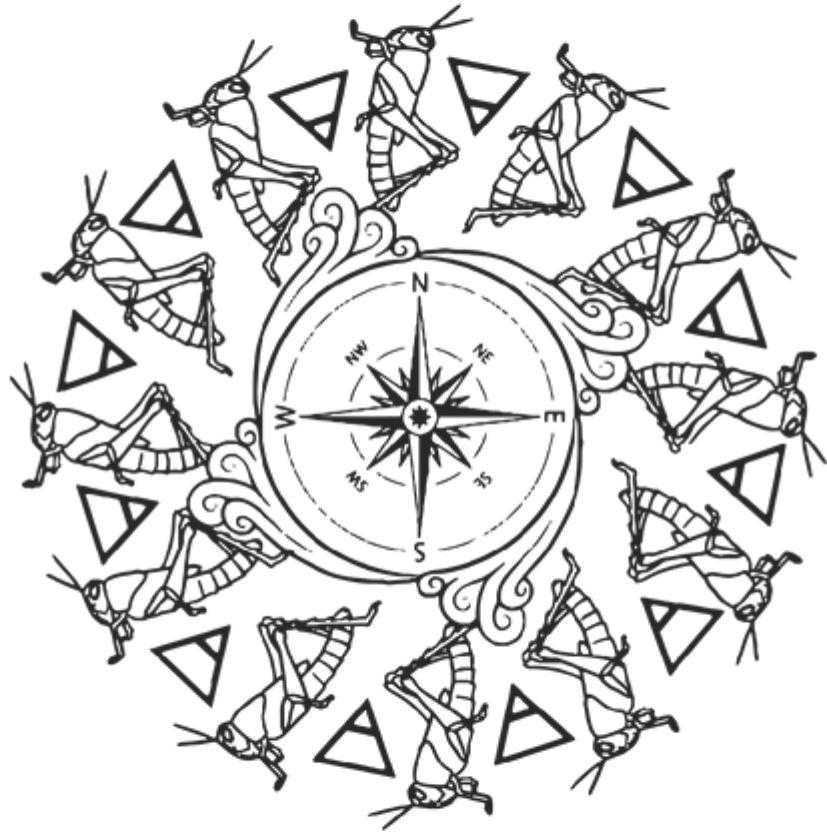
Z niewysłowionym bólem pragnę wziąć niezdradzającą oznak życia Nail w ramiona i rozpaczliwie próbować ją ocucić. Jednak ktoś chwyta mnie

mocno pod ręce i jestem wleczony z areny aż do łaźni.

Na miejscu siadam jedynie pod ścianą, chowam twarz w dłoniach i staram się o niczym nie myśleć, po prostu nie myśleć. Ale jak na złość, wciąż doświadczam, jak żywych, wizji płonących krzyży i ofiar, w tym przede wszystkim jednej z nich, Nail. W końcu zostaję siłą wywleczony z łaźni aż do moje klatki na wozie, by jeszcze tej nocy wyruszyć w powrotną drogę.

W szkole Artusa jestem bez słowa prowadzony do swej celi, gdzie napotykam jakąś kobietą sylwetkę. I naraz porywam się do niej, przekonany, że jest to cudownie ocalona Nail! Jednakże kobieta odwraca się ku mnie i widzę, że to bynajmniej nie moja ukochana, to nie Nail. A jednocześnie słyszę lekceważące słowa Pajosa:

– To twoja nowa partnerka z nadania Bogini Harremid. Co do poprzedniej, to możesz napić się jej świeżej krwi. Wiesz skąd...



IX. SŁODKI POCAŁUNEK TIRY

Atrix – to imię kobiety, z którą przychodzi mi obecnie dzielić celę. Kobiety, a nie dziewczyny, ponieważ z wyglądu wydaje mi się nieco starsza ode mnie czy Nail. Ponadto od mej dotychczasowej miłości jest znacząco szczuplejsza i nieco niższa. Posiada złote loki, a ich część zaplata w drobne warkocze. Twarz ma drobną, kości policzkowe mocno zarysowane, a podbródek szpiczasty. Oczy z kolei duże, szare i wąski, długi nos. Tak, jest piękna i pociągająca, a po jej równomiernie wyrzeźbionej sylwetce można wnioskować, że wysiłek fizyczny i walka nie są jej obce.

Tymczasem mijają kolejne dni, a ja wciąż nie wie, kim ona jest, ani skąd pochodzi. Każde z nas zanurzone jest jakby we własnym świecie i wspólnie nie rozmawiamy, tym bardziej się nie kochamy ze sobą. Jedyne od momentu połączenia nas w jedną parę razem spożywamy posiłki, śpimy i trenujemy.

Natomiast podczas treningów rzeczywiście szybko się przekonuję, że mam do czynienia z osobą o nieprzeciętnych, bitewnych zdolnościach. Specjalizuje się ona w walce dwoma krótkimi ostrzami i czyni to nader skutecznie, nieraz zaskakując mnie nietuzinkowym wyprowadzaniem ciosów i pokonując w ćwiczebnej walce.

Sam również nie pozostaję dłużny i nie szczędzę jej razów drewnianymi mieczami. Te codzienne pojedynki na piasku stają się z czasem dla nas prawdziwym wyzwaniem i traktujemy je nad wyraz poważnie niczym prawdziwi wrogowie. Mierzymy się czujnym wzrokiem i we wzajemnej konfrontacji dajemy z siebie wszystko. I muszę przyznać, iż te całkowite oddanie się walce stanowi dla mnie najlepsze remedium, by ciągle nie myśleć o Nail, o tym, jak ją zabiłem. Zatopiony bez reszty w walce mogę wreszcie oddać się czemuś innemu niż rozpamiętywaniu mego przekleństwa.

Uderzam z całych sił w miecze trzymane przez Atrix. Wytrzymuje ona mój atak i z zaciętą miną odpycha mój oręż, po czym krzyżąc, przechodzi do kontrataku. Zamaszyście tnie po skosie ostrzami, a ja wycofuję się, czyniąc uniki i parując ciosy długim, drewnianym mieczem. Kiedy zaś kobieta w złotych lokach skutecznie skraca dystans i przez to zyskuje przewagę, porzucam swój oręż i łapię ją wpół. Balansem ciała sprawiam, że czynię nią rzut przez siebie i ląduje ona na piasku, a ja na niej.

Dzięki zdolności walki wręcz znowu wygrywam i teraz czuję pod sobą jędrne, kobiece ciało w tym szybko falujące piersi. Dłużej spoglądam na te ostatnie, a potem przenoszę wzrok na rozchyłone, czerwone usta, w których dostrzegam białe zęby i wijący się język.

I naraz Atrix wypowiada zupełnie niespodziewane przeze mnie, aczkolwiek ze wszech miar pożądane, kuszące słowa:

– Po treningu proponuję stoczyć dziś w nocy kolejną walkę. Ale już w naszej celi i bez zbędnych świadków oraz krępującego nas ubrania... Co ty na to, wojowniku...?

Zastygam oniemiały z rozdziawioną gębą, a wtedy Atrix uderza mnie czołem w twarz i wyslizguje się z mego uchwytu. Błyskawicznie skacze ona na równe nogi i przysposabia się w oręż. Przykłada mi krótkie ostrze do gardła, po czym puszcza do mnie oko i zaczepnie oświadcza:

– Spokojnie, ogierze, nie żartowałem... Ale na swoją nagrodę, mnie samą... musisz najpierw odpowiednio zasłużyć... – Kopie ku mnie mój własny miecz. Biorę go w rękę i wkrótce wznawiamy walkę. Lecz obecnie w starciu z Atrix ponoszę bolesne klęski jedna za drugą. Albowiem po jej obietnicy, spoglądając co raz łapczywie na tę kobietę, za nic nie mogę się skoncentrować. Rozbudzona we mnie żądza wybucha nagle i z nieokiełznaną wręcz siłą. I tak, pragnę tego. Jestem wręcz przekonany, że posiąść tę kobietę, to będzie prawdziwe ukojenie, aby wreszcie wymazać z pamięci bolesne wspomnienia o Nail.

*

– Och! – krzyczy kolejny raz namiętnie Atrix, kiedy w celi taczamy się spleceni ze sobą po podłodze. Nasze ciała są nagie, gorąca i lepkie od potu, a gwałtowna miłość przypomina bardziej zapasy niż cielesne zbliżenie. I znowu zadurzam się w błogości kobiecego ciała, tracąc niemal zmysły.

Kobieta korzysta z mojego chwilowego otumanienia i wspina się na mnie, aby w tej pozycji szybko dokazywać, narzucając własne, zawrotne tempo. Pozwalam jej na to do czasu, aż nasycam się widokiem niewielkich, krągłych piersi. Wówczas spycham z siebie kobietę i przygniataam własnym ciałem, a potem podrywam nieco do góry i stawiam na czworakach.

W końcu, po trzech postępujących po sobie szczytach rozkoszy, padam wycieńczony na materac. Atrix, również zmęczona miłością, spoczywa koło mnie z głową wspartą na mej klatce piersiowej. Dłuższy czas odpoczywamy, normując oddech, zupełni jak po ciężkim treningu, aż swobodnie zwracam się do kobiety:

- Skoro już przełamaliśmy pierwsze lody...
- Pierwsze lody... – powtarza drwiąco.
- Tak... Więc skoro uczyniliśmy już pierwszy krok...
- Krok...
- Właśnie... To może zdradziłaś mi coś więcej o sobie...?
- Co chciałbyś na ten przykład wiedzieć, wojowniku...? – pyta zalotnie Atrix.
- Nie wiem... Może... Kim są twoi rodzice?
- Zaręczam, że są lepiej urodzeni od twoich... – odpowiada zadziornie. Na co uśmiecham się pobłażliwie i dumnie stwierdzam:
- Niewątpliwie się mylisz, ponieważ...
- Jesteś synem Bogini i zakonnika Arezara – kończy za mnie kobieta.
- Dokładnie... – potwierdzam dumnie. – Ty zaś...?
- Otóż... kochałeś się przed chwilą z samą córką cesarzowej Tiry i Boga... Abezzala... Tak, jeszcze do niedawna byłam władczynią całego Terraticos. – Atrix kokieteryjnie przeczesuje swe złote loki, a ja wytrzeszczam na nią oczy. – No co...? – udaje niewinność. – Myślałeś, że tylko ty masz w sobie boską krew? Otóż wiedz, iż ja posiadam do kompletu szlachecką...
- Jak... jak tu... trafiłaś... – dukam niepewnie, kiedy przechodzi mi pierwsze zdumienie.

– Zostałam zniewolona tak, jak i ty. A wszystko to stało się oczywiście po najeździe Legionu Śmierci na Terraticos. Kiedyś takie najazdy kończyły się jedynie plądrowaniem, śmiercią i zniszczeniem. Teraz jednak nasz boski brat, Arezar, pokusił się o pełnię władzy i sprawuje ją nader despotycznie nawet, jak na gniewnego Boga.

– Doszły mnie słuchy, że ktoś go niejako sprowokował...

– Nie zaprzeczam... – oznajmia obojętnie Atrix. – Ja i moi najbliżsi bracia ogłosiliśmy światu naszą boskość i zażądaliśmy należnej nam czci. Ale... musieliśmy to zrobić...

– Czemu...?

– Przez wzgląd na Tirę, naszą matkę. Było to jej wielkim marzeniem, by jej dzieci uznane zostały za Bogów Pendorum... I to dlatego na naszego ojca wybrała samego Abezzala.

– Hm... jednak to moja matka zabiła twoją... – stwierdzam markotnie. – Czy to nie czyni nas sobie przypadkiem wrogami...?

– A czy wyglądam, jakbym pragnęła na tobie pomsty...? – Atrix gładzi się kokieteryjnie po piersiach, okraszając piękną twarz jeszcze bardziej promiennym uśmiechem.

– Najokrutniejszą zemstą z twojej strony byłoby to, gdybyś teraz zaczęła odmawiać mi swoich wdzięków... – zauważam i gładzę aksamitną skórę kochanki. A czując pod nią sprężyste mięśnie, przesuwam rękę od ramion przez tułów aż do pośladków.

– Staliśmy się sobie parą, takie jest najwidoczniej nasze boskie przeznaczenie – oświadcza z kolei rezolutnie Atrix i zdecydowanie dodaje: – Ale nie jesteśmy razem z nadania tej zwierzęcej dziwki, Harremid.

– Ostrożnie... – rzucam w powietrze. – Mówisz o gniewnej Bogini...

– Po tym, jak mnie schwytano, upokorzono i zniewolono, nie dbam o ostrożność – odpowiada z typową dla siebie determinacją Atrix i w tym samym tonie kontynuuje: – Przeznaczenie sprawiło, że dwie pół boskie istoty, ty i ja, połączeni zostaliśmy w jedność. I obecnie, jak jedna osoba powinniśmy bezwzględnie kroczyć do naszego wspólnego celu.

– Którym jest...?

– Pragniesz zjednoczyć Pendorum, czyż nie?

– W sumie... chyba tak... – zgadzam się po chwili wahania.

– Właśnie – oznajmia dobitnie kobieta. – Ja natomiast, zgodnie z wolą matki, chcę władać tym kontynentem jako światła Bogini. I nie mam nic przeciw temu, aby mieć walecznego, boskiego męża u boku, a przy tym pozbyć się konkurencji... – Puszczam mi słodkiego całusa.

– Więc sugerujesz, że ty i ja...

– Tak. Wyzwolimy się z tej przeklętej otchłani, szkoły Artusa, i zdobędziemy należną nam władzę nad całym kontynentem Pendorum.

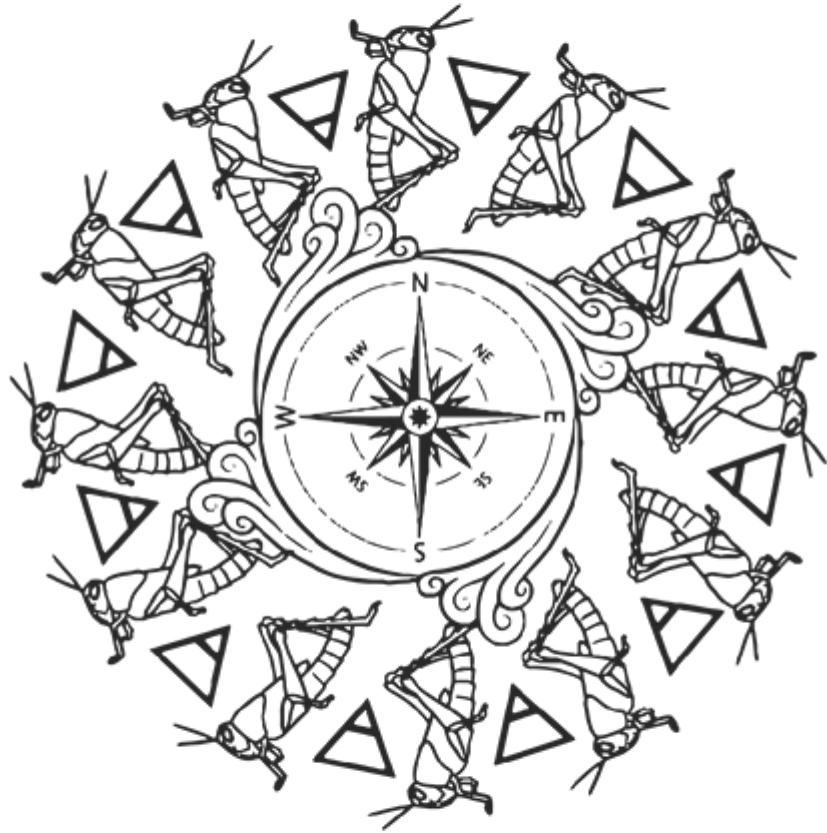
– A twoi najbliżsi bracia, monarchowie pozostałych władztw Pendorum? Co oni na twoje zakusy...?

– Będą musieli się zadowolić pozycjami znamienitych patrycjuszy i lordów. Czyż to nie będzie dla nich i tak łaska z twojej strony, syna boskiej Anrei...? – Atrix uśmiecha się kąśliwie, a ja składam pocałunek na jej pełnych ustach i szepczę namiętnie:

– Zaiste, będzie to łaska... Zaś największa, dla mnie, jeżeli tylko będziesz moja, jako ma przyszła żona u mego boku.

– O tak... – słyszę w odpowiedzi. I zaraz znowu bez reszty zatracamy się w cielesnej miłości, a ja dodatkowo w niezwykle ambitnych planach Atrix. Jej hardość i duma naprawdę robią na mnie wielkie wrażenie i sprawiają, że nagle czuję się przy niej o wiele więcej wart, gotowy walczyć o niebotyczne stawki oraz bezwzględnie osiągać cele. Naprawdę odnoszę wrażenie, że stanięcie ramię w ramię przy takiej kobiecie autentycznie dodaje mi powagi i siły.

Zatem czemu nie? Nie bacząc na nikogo i na nic niech się to ziści, nasze niezwykle przeznaczenie – pół Bóg i w połowie Bogini – kochankowie i wojownicy doskonali na jedynym tronie kontynentu Pendorum. O tym teraz zamierzam nie tylko śnić, ale tym żyć. Natomiast w przyszłości ku pamięci Nail wybuduję czczący jej pamięć wielki monument. To niestety wszystko, co mogę dla niej uczynić.



X. TURNIEJ KU CZCI AREZARA

Od momentu, gdy dzielimy się z Atrix przeszłością, rozkoszą ciała, a także ambitnymi planami na przyszłość, pewne rzeczy ulegają znaczącej przemianie. Nagle bowiem objawiamy się w szkole Artusa, jako zupełnie inna para. Mianowicie twardzi i niezwykle zdeterminowani w dążeniu do celu, co owocuje swoistą rewolucją w relacjach ze zniewolonymi wojownikami na ćwiczebnym placu.

Albowiem dla naszych planów zaczynamy poszukiwać wśród gladiatorów sojuszników, a eliminujemy tych, którzy potencjalnie mogliby nam zagrażać. Po drodze zaś staramy się wyrobić sobie poszanowanie i renomę, aby już teraz w naszym otoczeniu widziano w nas przywódców oraz istoty zdolne sięgnąć po wielkie rzeczy, którym się nie odmawia, nie ważne, o co poproszą.

I tak kiedy jeden z wojowników zaczepia Atrix, całując ją siłą w usta, ona podczas pocałunku odgryza mu język i wypluwa w twarz. Sam również czuję się zobowiązany zareagować i bezczelnemu zalotnikowi wpycham jego język z powrotem do gardła, po czym zmuszam, aby go połknął. I czyni to, gdy grozę, że zaraz skręcę mu kark.

Inni to widzą i coraz niżej pochylają głowy, kiedy krzyżujemy z nimi wzrok. Natomiast kilku osiłków, którzy wydają się niepokorni, ponizamy, plując im do posiłków i prowokując do walki. A w walce, ku przestrodze dla innych, nieraz trwale ich okaleczamy. I tak łamiemy cudze kości, wyłupujemy oczy i miażdżymy mięśnie czy skręcamy stawy za pomocą siły własnych ciał oraz sprzętu w zasięgu naszych rąk, jak drewnianych taboretów, misek czy chochli.

W toku dalszej realizacji naszego planu zagadujemy zastraszonych wojowników o ich kontakty z zewnętrznym światem. Wyjawiamy im, że przygotowujemy ucieczkę i za murami szkoły Artusa dysponujemy

stosownym bogactwem, aby zapłacić komu trzeba za pomoc. Obecnie zaś potrzebujemy przede wszystkim odpowiednich kontaktów.

Tą drogą zawieramy kluczowe dla nas umowy i zamierzamy skwapliwie z nich skorzystać już podczas najbliższych igrzysk. Odbędą się one w Etos ku chwale Boga Arezara, a dla nas mają stanowić bramę otwartą szeroko na oścież wprost ku wolności.

Wśród zwerbowanych przez nas pomocników człowiek z blizną na czole obiecuje nam uzyskać klucz do celi w podziemiach areny w Etos. Z kolei pewna gladiatrix odznaczająca się siwymi włosami mimo młodego wieku ma nakłonić znane sobie osoby do przygotowania dla nas koni za bramami Koloseum. Do tego starszy już gladiator bez palców u prawej dłoni twierdzi, że na obrzeżach stolicy cesarstwa jego kamraci przyszykują dla nas doskonałą kryjówkę, gdzie możemy się schronić po naszej szczęśliwej ucieczce.

Tak przygotowani udajemy się z grupą innych gladiatorów na wspomniane igrzyska ku chwale władającego obecnie cesarstwem Terraticos Boga Arezara.

Kroczę przy Atrix na przedzie kolumny w otoczeniu strażników i muszę przyznać, iż wręcz rozpiera mnie duma, mając tak wspaniałą kobietę u boku. Jest piękna, odważna, szlachetnie urodzona, a nie mogę odmówić jej także mądrości, sprytu i siły charakteru oraz prawdziwego, kobiecego uroku. Wszak na ten czas posiada ona dla mnie coś jeszcze, coś absolutnie niezwykłego, przez co będę ją chronił ze wszystkich sił.

Mianowicie Atrix nosi już me dziecko w swym łonie. Zdradza ją lekko zaokrąglony brzuch, który mam nadzieję, nie będzie jej zbyt przeszkadzał w walce. Zresztą nie wierzę, aby moja obecna miłość dała się pokonać. Nie ja i nie ona! Oto jesteśmy przyszłymi władcami i Bogami tego świata, takie jest nasze prawdziwe powołanie!

Tak, teraz czuję, że to właśnie od zawsze było mi zgodnie z przepowiednią matki pisane, a mityczna Anrea, najwyższa Bogini nie może się mylić. Przeto ziścimy niemożliwe. Uciekniemy z Atrix, a potem już jako wolni ludzie rozpoczniemy morderczą batalię, którą zwieńczymy absolutnym zwycięstwem, zaś w przyszłości naszym wspólnym dziedzicem na jedynym tronie Pendorum.

Pokrzepiony takimi rozważaniami docieram do Etos niemal w uniesieniu. Trwa noc i miasto zatopione jest w mroku rozjaśnianym licznymi pochodniami. W świetle ognia dostrzegam tłumy mieszkańców, lecz zachowują się oni nadzwyczaj cicho, jakby trwożnie. I chyba wiem, co jest tego przyczyną. Co raz zauważam zbrojne patrole amazonek Legionu śmierci i efekt zaprowadzonego przez nie terroru w mieście. To wiszący na murach domów okaleczeni ludzie, od dawna martwi bądź właśnie w mękach dogorywający.

Ja sam staram się odwracać wzrok od tych makabrycznych wizerunków, zwiastunów śmierci i koncentrować na życiu. Na mnie, Atrix i naszym dziecku w kobiecym łonie oraz naszej rychłej, szczęśliwej ucieczce.

Już w podziemiach areny i w drodze do celi kolejno zaczepiają mnie określani wojownicy ze szkoły Artusa i dyskretnie przekazują pożądane wieści, które im z kolei przemycił ktoś z tłumu gapiów. Tak więc klucz do naszej celi otrzymamy jutro wieczorem po pierwszych walkach. Konie będą czekać tuż za główną bramą Koloseum, a przepustką do nich będzie towarzysząca nam siwowłosa kobieta. Także uwolniony przez nas mężczyzna bez palców u prawej dłoni osobiście poprowadzi nas do przygotowanej zawczasu kryjówki.

Jestem tymi wieściami tak podekscytowany, że prawie nie mogę zasnąć. W zbiorczej celi, gdzie zgromadzonych jest nas kilkunastu wojowników, tulę do siebie mocno Artix i tęsknie wyczekuję poranka.

Ten w końcu nadchodzi i otwiera na światło dnia moje oczy. Wręcz porywam się na równe nogi i z nieskrywaną radością witam jasność przedzierającą się przez kraty jedyne, wysoko usytuowanego okna tej celi.

Jednak wiem, że muszę jakoś ochłonać. Do rozpoczęcia turnieju pozostaje jeszcze sporo czasu i lepiej nie trwonić sił, dając się pochwyć w szpony intensywnych emocji. Dlatego siadam, składam dłoń na łonie Artix i kiedy ona się budzi, nawiązuję z nią swobodną rozmowę:

– Gotowa...? – zapytuję niewinnie.

– Tak, aby zabić wszystkich... – posykuje, obdarzając mnie jednocześnie uroczym uśmiechem. Całuję ją w usta, po prostu nie mogę się powstrzymać i sugeruję:

– Nie ma sensu ryzykować. – Spoglądam na kobiety brzuch. – Podczas walki trzymaj się nieco z tyłu. Zaufaj mi, poradzę sobie.

– Ufam – odwzajemnia pocałunek. – Ale wiesz, że nie pozwolę, aby cała chwała na arenie przypadła jedynie tobie. – Puszczam mi oko.

– Kiedy nasza prawdziwa chwała dopiero nadchodzi... – droczę się. – Dzisiaj będzie to jedynie egzekucja na bitewnym placu, która otworzy nam drogę ku wolności...

– Słyszę, że bardzo chcesz się wykazać...

– Tak, pragnę tego. – Uderzam się dumnie pięścią w tors. – Podobnie jak pragnę... – urywam zdanie i ponownie nachylam się nad kobietą, aby ją pocałować. Ale ona kładzie mi palec na ustach, po czym spokojnie oświadcza:

– Masz moje słowo, pozostanę na arenie za twoimi plecami...

– Naprawdę? To do ciebie niepodobne... – Znając jej zapał do wojaczki, patrzę na nią nieco zaskoczony. Ona krzywi się lekko na twarzy i składając dłonie na brzuchu, ściszone głosem oznajmia:

– Mam mdłości...

Wobec tego wyznania tulę do siebie Atrix i właśnie nabieram bezgranicznego przekonania, że dla swej przyszłej rodziny pokonam wszystko i wszystkich. Nawet stado legendarnych xeratoksów.

Przed południem przybywają liczni strażnicy i prowadzą nas do przedsiionka areny. Tutaj przywdziewamy przeznaczony nam rynsztunek. Następnie zostajemy częściowo rozdzieleni. Jednak co najważniejsze obecny turniej toczony ma być w parach mieszanych i tylko to mnie interesuje. To, że nie będę musiał walczyć z Atrix, ponieważ z oczywistych względów nie mógłbym tego uczynić.

Tak oto moja partnerka uzbraja się w dwa krótkie ostrza i strój analogiczny do tego, w jakim występowała na arenach moja matka – stalowy napierśnik, skórzany gorset, opaskę biodrową i wysokie buty. Osobiście tym razem będę walczył za pomocą dwuręcznego miecza, a obok przepaski na biodra z ubioru otrzymuję jedynie skórzane, masywne szelki skrzyżowane ze sobą i spięte żelazną, kolistą kłamrą na splocie słonecznym. Nie jest to znacząca osłona przed wrogim orężem, ale nie

sądzę, abym jej potrzebował, a ten strój przynajmniej nie będzie mnie krępował.

Niebawem wkraczamy na ciepły, nasłoneczniony piasek areny i w absolutnej ciszy zgromadzonego tłumu zbliżamy się do naszych pierwszych przeciwników. Sam świadomie wysuwam się dwa kroki przed Atrix. Lecz naraz zrównujemy się ze sobą, kiedy stajemy w miejscu i solidarnie rzednie nam mina.

Jak na złość i zdradliwą ironię losu jednym z naszych pierwszych przeciwników ma być mężczyzna bez palców u prawej dłoni. Tak, ten sam, który miał nam zapewnić bezpieczne schronienie po szczęśliwej ucieczce. A wobec zaistniałych okoliczności, spoglądam markotnie na Atrix i wzruszam bezradnie ramionami. Zaś mój przekaz jest tylko jeden – nici ze spodziewanego sanktuarium. Zatem po ucieczce sami będziemy musieli szukać bezpiecznej kryjówki. Jednak najpierw musimy pokonać naszych przeciwników.

Ruszam zdecydowanie przodem przed moją partnerkę i nie czekając na reakcję przeciwnej pary, bezpardonowo ją atakuję. Tnę mieczem w znanego mi mężczyznę, a teraz wroga na arenie. Przyjmuje on cios mego ostrza na tarczę przywiązaną do przegubu ręki bez palców. Drugą ręką wymierza ku mnie uderzenie toporkiem. Z łatwością czynię unik przed bronią o małym zasięgu i dla odmiany krzyżuję miecz z włócznią czarnowłosej przeciwniczki. Następnie niekonwencjonalnie porzucam swój oręż i wskakuję pomiędzy rywali, po czym chwytam ich za włosy i zderzam głowami. Puszczam czupryny i z ręki oszołomionego wojownika wyrywam toporek, którym raz po raz tnę ciała kobiety i mężczyzny. Czynię to tak długo, aż padają pod gradem ciosów, pokonani niemal jak dzieci, okaleczeni i konający na piachu areny.

Na trybunach rozlegają się nieśmiałe pomruki podziwu pochodzące z sektorów zajmowanych przez rdzennych mieszkańców Terraticos. Natomiast z miejsca, gdzie na złotym tronie zasiada sam Arezar, nie dobiegają żadne odgłosy. Zarówno on sam, otaczający go pretorianie w postaci bezskrzydłych ludzi z głowami psów oraz amazonki z Legionu Śmierci, wszyscy oni roztaczają wokół siebie jedynie przemożną ciszę.

A skoro tak, to walkę uznaję za zakończoną i nie kłaniając się bratu, ani komukolwiek innemu, powracam do Atrix. W jej oczach dostrzegam uznanie, które wystarcza mi za wszystkie nagrody i pochwały za skuteczne pokonanie wrogów.

Następnie łapię za ledwie krótki oddech w przedsiionku areny i już ponownie jesteście na nią wzywani, by stoczyć kolejną walkę. Niestety tym razem patrzę na naszych rywali wręcz zde gustowany i ze złością rozglądam się naokoło, zastanawiając, czy aby ktoś z organizatorów turnieju świadomie nie podsuwał nam takich, a nie innych przeciwników.

Oto czeka nas walka z parą, gdzie topór oraz tarczę trzyma niepewnie siwowłosa kobieta. Postać, której przeżycie pierwszego dnia walk, miało nam zapewnić konną ucieczkę spod Koloseum. Wszak w obecnych okolicznościach oczywistym się staje, że za murami tego przeklętego miejsca czekać nas będzie jedynie piesza gonitwa bez wyraźnego celu.

To znacząco komplikuje sprawę i wyzwala we mnie prawdziwą furję. A dając je upust, bez litości siekam mieczem dotychczasową współpracowniczkę w planowaniu ucieczki i jej partnera. Umierają w morzu krwi i zadanych im głębokich ran. Ja sam, z duszą na ramieniu, oczekuję następnej pary przeciwników.

I bynajmniej nie jestem wielce zaskoczony, a na obecnym etapie już wcale, kiedy z długim mieczem w dłoni stawia się przed nami człowiek z blizną na czole, niedoszły klucznik. Wówczas bezradnie opuszczam własny miecz i ze świadomością, że tym razem nie dane nam się będzie wyrwać na wolność, smętnie kroczę do walki.

Ale nieoczekiwanie wyskakuje przede mnie Atrix. Krzyżuje ona ostrza z mężczyzną, po czym czyni błyskawiczny wślizg i mocno rozcina mu pachwinę. Skacze na nogi i z obrotu uderza ostrzami we włócznię rywalki, by zaraz przeprowadzić w jej kierunku całą serię wściekłych cięć i ostatecznie umieścić swe miecze w gardle i brzuchu kobiety.

Tak oto trzecia para przeciwników pada martwa na piach areny, a ja z niekłamanym podziwem kłaniam się Altrix. A wygląda ona wręcz oszałamiająco w blasku zachodzącego słońca, ociekającymi krwią mieczami i szybko falującą piersią.

Podchodzę do niej i całuję z uczuciem w czoło. Wiedzę, że także ona przeżywa wielkie rozczarowanie i właśnie gniewnie wyładowuje na arenie swoje emocje.

– Przyjdzie jeszcze nasz czas, czas wolności... – szepczę do niej i wspólnie udajemy się na zaplecze.

Teraz jest już oczywiste, że ktoś w szkole Artusa przejrzał nasze plany i obecnie po prostu z nas zakpił. Trzeba przyznać, że byliśmy niepoprawnymi optymistami. W końcu jedynie przekupywaliśmy i zastraszaaliśmy dla własnych celów ludzi, a nie pokusiliśmy się o zdobywanie ich serc oraz umysłów. Wystarczyło więc, że choć jedna osoba zechciała utrzyć nam nosa, zemścić się i oto mamy tego zgubny dla siebie skutek. Również nauczkę, aby w przyszłości być może inaczej zjednywać sobie sojuszników.

Snuję takie rozważania, gdy jesteśmy prowadzeni do łaźni i potem, myjąc własnymi rękoma w basenie Atrix. Moja partnerka jest podłamana i okazuje to, zastygając w bezruchu. Czuję jej spięte mięśnie pod gładką skórą. Kobieta nie reaguje na słowa otuchy, czułe szepty czy pocałunki. Wydaje się wręcz przeżywać swoistą żalobę. Rozumiem ją, w końcu oczyma wyobraźni, wyglądając w nieodległą przyszłość, widziała się już wyzwoloną z kajdan. A tak w kolejne dni przyjdzie nam toczyć mordercze walki już nie o naszą wolność, a jedynie ku uciechu widzów i zwykłe przetrwanie. Co więcej, następne igrzyska Atrix może być zmuszona toczyć w zaawansowanej ciąży, co jest niedopuszczalne.

Noc spędzamy spokojnie w naszej celi już w o wiele mniej licznym gronie. Ponieważ niemal wszyscy będący tu do tej pory gladiatorzy i gladiatrix z naszej szkoły, dzisiaj polegli.

Natomiast wraz z kolejnym południem walczymy w trudnym boju ze wczorajszymi zwycięzcami. Obecne wygrane musimy okupić już znacznie większym trudem oraz naszą krwią i ranami. Jednakże stając nieustannie ramię w ramię i wspierając się nawzajem, pokonujemy wszelkie przeszkody – uśmiercamy licznych zniewolonych wojowników areny, samym sobie zapewniając przetrwanie.

Jeszcze jeden pobyt w łaźni, obmywanie zmęczonych i okaleczonych ciał. Jeszcze jedna noc, tym razem spędzona już w celi samotnie. I

wreszcie, w ostatni dzień igrzysk, stajemy o zachodzie słońca twarzą w twarz z ostatnimi przeciwnikami. Tymi, którzy jak my, położyli dotąd trupem całe zastępy innych wojowników.

Po chóralnych śpiewach z akompaniującymi im instrumentami nadchodzi majestatyczna cisza i podpalane zostają pochodnie z czerwonym ogniem. Zakwita on gęsto wokół areny na najniższym poziomie trybun. Z tą chwilą mamy rozpocząć morderczy finał.

Naszą ostatnią przeszkodę stanowi niebotyczny mężczyzna, istna góra mięśni jedynie w przepasce biodrowej, uzbrojony w potężny młot bojowy z żelaznym okuciem. Partnerką gladiatora jest postawna kobieta z harpunem i siecią ubrana w komplet połączanych przepasek na ciało oraz pełny hełm na głowie skrywający jej lico.

Para ta stoi tuż koło siebie i czeka. Więc postępuję naprzód, a tuż za mną kroczy Atrix. Wybieram, wydawałoby się groźniejszego przeciwnika i na początek atakuję olbrzymiego mężczyznę. Lecz ten się cofa nad wyraz zwinnie, a ku mnie szybuje z zawrotną prędkością grot harpuna wrogiej gladiatrix. Staram się zrobić unik, ale przed mocnym zranieniem w brzuch ratuje mnie moja partnerka, zbijając ostrzem wrogi oręż. A zanim się obejrzę, już szybuje ku nam w poziomie młot bojowy gladiatora. Gwałtownie uchylamy się razem z Atrix i niemal padamy na piasek. Zaś kolejny cios harpunem zagłębia się w udzie córki Tiry. Wobec tego natychmiast prostuję się do pionu i zasłaniam ją własnym ciałem. Długim mieczem wykonuję obszerne cięcia w kierunku szyi wrogiej gladiatrix. Ale ona już wcześniej ruszyła do odwrotu, natomiast atak od razu ponawia jej partner i trafia mnie młotem boleśnie w ramię.

Siłą uderzenia zostaję rzucony na piasek. Podźwigam się do przykłąku, a Atrix skacze przede mną i osłania przed szarżującą kobietą. Moja partnerka bierze na siebie impet ataku, odrzucając skutecznie przeciwniczkę. Gdy naraz była cesarzowa otrzymuje miażdżący cios młotem w kolano. Wydobywa ze swej piersi przeciągły krzyk i obejmując strzaskaną kończynę, pada bezradnie na piaszczyste podłoże.

Staję nad nią, głęboko oddycham i nagle zalewa mnie wręcz ocean strachu. Raptem bowiem dociera do mnie, że zaraz oboje tutaj przegramy, zginiemy! Albowiem nasi przeciwnicy poza tym, że są wytrawnymi

wojownikami, co oczywiste, to prezentują coś więcej. Oni doskonale współpracują. Są niczym jedna istota zaopatrzona w dwie pary rąk i nóg oraz różnorodny oręż. Więc jak moglibyśmy ich pokonać?

Spoglądam ze smutkiem na Atrix u mych stóp. Także w jej oczach dostrzegam lęk, ale też wściekłość. Mimo wszystko próbuję się zebrać w sobie i walczyć do końca. Tak, walczyć do końca. Nie wiedzieć czemu moje myśli naraz podążają za matką i przy niej pozostają.

Próbuję rozpaczliwie zaatakować wrogą gladiatrix, ale w efekcie wystawiam się na cios potężnego wojownika i ten uderza mnie młotem w wyciągnięte do przodu przedramiona. Od koszmarnego bólu i być może złamanych rąk, upuszczam miecz. I czekam na ostateczny atak przeciwników oraz nieuniknioną śmierć moją oraz Atrix. Aż raptem dzieje się coś zupełnie w tej sytuacji nieoczekiwanego.

Kobieta z harpunem przystawia mi ostry grot do gardła i zastyga w tej pozycji. Następnie raptownie cofa broń, po czym jej ostry czubek umieszcza gwałtownie w gardle swego partnera. Ten pada z wytrzeszczonymi oczyma na oba kolana i błyskawicznie się wykrwawia, aż jego ciało bezwładnie rozpląszcza się na arenie w prawdziwym morzu krwi.

Nic nie rozumiem z zaistniałym sytuacji i stoję jak zamurowany, obserwując z niewypowiedzianym zaskoczeniem gladiatrix przede mną. Lecz naraz ogniskuję wzrok na jej ciele na żebrach tuż pod przepaską piersiową. Dostrzegam tam zarys potężnej blizny, która ginie pod pozłacanym materiałem. Czyżby więc postać naprzeciw mnie to mogła być sama...

Potrząsam jakby dla ocucenia z niedowierzaniem głową, a w tym czasie wojownicza zdejmuje hełm z głowy i ukazuje mi swoje oblicze. Tak, to Nail, to Nail! O której byłem bezsprzecznie przekonany, że ją zabiłem. A jednak ona żyje...

Po pierwszym szoku, przeżywając niewypowiedzianą mieszankę sprzecznych emocji, podnoszę spod swoich stóp miecz. Wyciągam go ku Nail i opieram połyskującą klingę na jej szyi. Lecz ta postać się nie broni, a ja nie potrafię zwieńczyć swego dzieła, uśmiercając ją, za nic.

– Zabij ją! – słyszę raptem zza pleców wściekle ponaglenie Atrix. – Zabij!

W odpowiedzi z bezsilności zamykam oczy, jednakże gotowy zatopić ostrze w ciele Nail, gdy je otworzę. Ponad wszystko muszę to uczynić, muszę! Ponieważ to jedyna droga do przetrwania Artix i naszego dziecka w jej łonie.

Czynię gniewny wyraz twarzy, unoszę powieki i już zamierzam wbrew wszystkiemu dokonać ostatecznego pchnięcia. Ale Nail czyni zwinny unik, obiega mnie i z całym impetem lokuje grot swego harpuna w brzuchu Atrix.

Ona śmiertelnie ją rani...

W tym momencie uginają się pode mną kolana i padam na piach areny. Porzucam miecz, chwytam w objęcia córkę Tiry i przyciskam ją z całych sił do siebie. Po chwili cały jestem w jej czerwonej krwi niczym w znaczniku mego niewysłowionego cierpienia, którego nic nie będzie w stanie ukoić. Atrix w moich ramionach właśnie umiera.

Na mrocznej arenie trwa nieustannie niezmacona cisza, aż po dłuższym czasie zostaje ona co raz przerywana przez gniewne pokrzykiwania oratora. Surowo ponagla on mnie oraz Nail do walki, lecz jego wysiłki są żałosne i daremne zarazem.

Moje ręce drżą i ogarnia mnie taka słabość, że nie ustałbym chyba nawet na nogach, bowiem cały mój świat legł w gruzach i nie mam już o co walczyć. Z kolei Nail swoim zwyczajem stoi bez emocji, tylko mi się przyglądając. Tuż koło niej, jako ostrzeżenie, spada kilka strzał, jak również wbija się w ziemię rzucony oszczep.

W tym momencie dziewczyna, jakby wrywa się z letargu. Chwyta oszczep, podbiega z nim kilka kroków w kierunku trybun, po czym ciska orężem z całych sił w samego Arezara na tronie. Drzewcowa broń szybuje z zawrotną prędkością, aż jej grot z impetem zderza się z nagim torsem siedzącego Boga. Następnie oszczep opada na kolana Arezara, nie uczyniwszy mu najmniejszej krzywdy.

Wobec tej sceny tłumy na widowni wydają z siebie przeciągłe westchnięcie, a wielu ludzi pada na kolana i nisko pochyla głowy. Natomiast na arenę zeskakuje kilkunastu wojowników o ludzkich sylwetkach, ale z głowami psów. Jedni z nich są uzbrojeni, a pozostali niosą drewniane elementy dwóch krzyży.

Pewnie powinienem chwycić za miecz i razem z Nail rzucić się na te pomioty Otchłani. Jednak po doznanym ciosie w postaci śmierci Atrix, sam gdzieś w głębi duszy przyzywam do siebie śmierć. Do mnie i tej dziewczyny. W jakiś sposób wydaje mi się to słuszne i sprawiedliwe, abyśmy wspólnie dokonali tu żywota. Chociaż jako pół Bóg spodziewam się ponownych narodzin ze świadomością dawnego życia lub bez. A co do Nail, co przyniesie jej własna śmierć, ostateczne unicestwienie, czy też nie? Nie wiem tego, ponieważ wciąż nie mam pojęcia, kim ona tak naprawdę jest.

Zbite ze sobą poprzecznie belki są wkrótce gotowe, aby przyjąć do swej twardej struktury dwa ciała. Ja sam ani towarzysząca mi dziewczyna nie stawiamy już więcej oporu, tylko dajemy się przywiązać i przybić do krzyży. Doznawany ból niemal wyrywa ze mnie duszę. Lecz jednocześnie pozwala nie myśleć o Atrix.

A już zaraz wiszę na krzyżu naprzeciw Nail. Ta dziewczyna wciąż spogląda na mnie. Ja zaś nadal nie potrafię przeniknąć jej istoty. Nie widzę w niej żalu, triumfu ani też czegokolwiek innego. Jedynie wbity we mnie nieustannie wzrok niczym gwoździe w mych dłoniach i stopach.

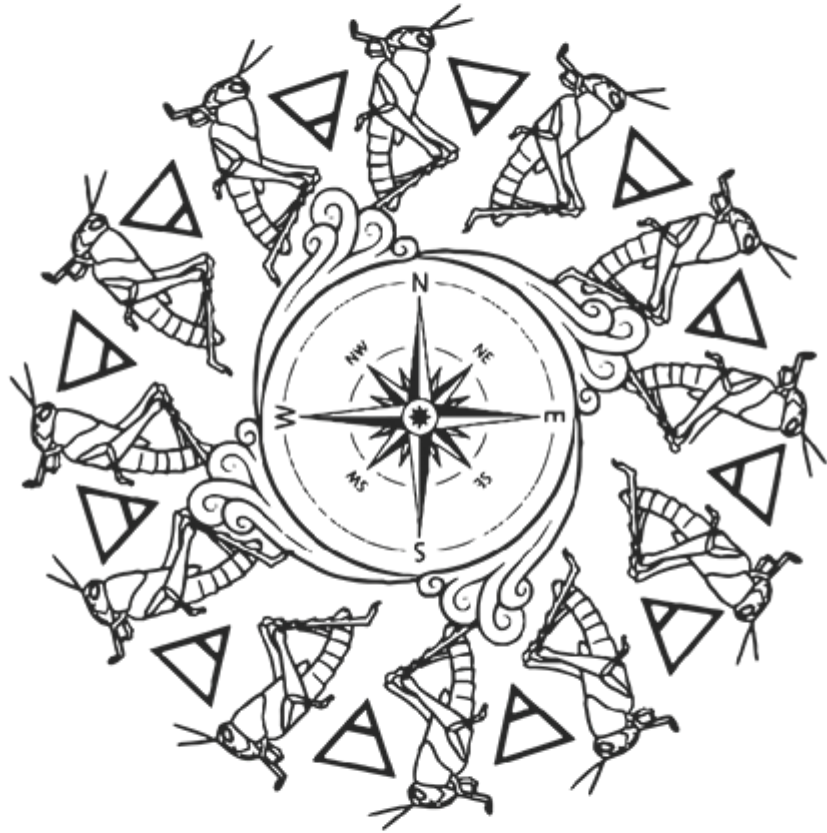
Z czasem moje spojrzenie staje się coraz bardziej mętne i ogarnia mnie potworne zmęczenie. Długi czas spędzony w nocy na krzyżu błyskawicznie pozbawia mnie sił. Ponadto, aby przybici nieszczęśnicy szybciej skonali, gwoździe w ich ciałach nasąca się wcześniej jadem skorpionów.

Z kolei na arenie, rozświetlanej ogniem czerwonych pochodni, wszyscy zebrani oczekują naszej śmierci w powadze i ciszy. Zgodnie z tradycją wcześniej nie mogą opuścić swych miejsc.

Aż kiedy na wschodzie wyraźnie przebijają się pierwsze promienie wschodzącego słońca, na arenę wkracza grupa ludzi. Niosą oni dwie pary noszy przeznaczonych na zwłoki, a jedna z postaci idzie ze wzniesioną włócznią. Staje ona przed wiszącą na krzyżu dziewczyną i bez namysłu wbija w jej grot w samo serce.

Opuszczona do tej pory głowa Nail całkiem opada. Tak oto kończy się niewolnicze życie tej istoty. Tak po prostu, w ciszy i bez emocji, tu, na arenie, naprzeciw mnie. A już zaraz jej los ma spotkać również i moją osobę.

Włócznia, której czubek jest naznaczony krwią Nail, uniesiona zostaje na wysokość mego torsu. Następnie ostry grot opiera się o moją skórę nad sercem i raptem czuję przeszywający ból. Nie krzywię się, tylko przyjmuję ostrze w sobie z odwagą. Cokolwiek się teraz stanie, wraz z moim odejściem, jestem na to gotowy. Zaś w moim mniemaniu w chwili śmierci przypominam wielobarwny, aczkolwiek pusty wazon właśnie rozbijany na tysiąc kawałków. Tak oceniam me krótkie życie. Ostatnio wiele zdążyło się w nim wydarzyć, lecz ostatecznie nic nie pozostało...



XI. NOWE ROZDANIE

Osacza mnie absolutna pustka, a w niej nieprzenikniona czerń oraz cisza. Wydaje mi się, że doświadczam całkowitej nicości, która trwa poza przestrzenią i czasem.

Aż naraz przez mrok przebija jakby lekka, srebrzysta poświata. Dostrzegam w jej centrum zarys kompasu wskazującego cztery strony świata. Wokół niego kręci się z wolna koło, gdzie obrazy licznych piramid poprzedzielane są wizerunkami szarańczy. Potem wszystko ulega radykalnej zmianie.

Wizja raptownie znika, natomiast w jej miejsce intensywnie odczuwam zatechłe powietrze, a w nim odór śmierci, przegniłego mięsa. Pod opuszkami palców czuję lepką tkaninę jakby całun pokryty krwią. Z kolei przed sobą zauważam drobną iskierkę, która nieustannie się powiększa. Zaś w trwającej do tej pory śmiertelnej ciszy rozchodzą się odgłosy niespiesznie stawianych kroków po kamiennej nawierzchni. Wkrótce światło, już znaczące, się zatrzymuje.

Mrużę oczy i wyławiam z mroku, że źródłem blasku jest ogień pochodni trzymanej przez mężczyznę w średnim wieku. Ma on skośne oczy, niemal ogolone do gołej skóry włosy i długą brodę zaplecioną w gruby warkocz. Co więcej, zauważam teraz nie tylko jego. W miejscu, gdzie leży pełno martwych ciał, dostrzegam również siedzącą i wpatrującą się we mnie... Nail.

– Czy ja umarłem...? – zapytuję zamierającym głosem i wsłuchuję się podejrzliwie we własne słowa. Także przyglądam się krwawym bandażom na dłoniach. – Czy my umarliśmy...?

– Być może, ale najwyższy już czas zmartwychwstać, nieprawdaż?! – rzuca swobodnie przybyły mężczyzna i jak gdyby nigdy nic się przedstawia: – Jestem Ravel. Tak, ten Ravel. Pierwotnie koniokrad,

następnie wątpliwych zdolności gladiator, a potem wierny towarzysz mitycznej Anrei z jej ostatniego żywota. A wreszcie były partner Viri oraz obecnie... przywódca gildii złodziei Braci Cienia, szajki słynnej na całe Pendorum! – kończy dumnie.

– Więc... ja nie umarłem... – stwierdzam i ośmielony dotykam swego ciała, zupełnie jakbym pragnął sprawdzić, czy posiadam w nim czucie. – Nie umarłem... – powtarzam.

– A i owszem, na ten czas wszyscy żyjemy! – oświadcza radośnie Ravel i precyzuje: – Umarłeś, synu mitycznej Anrei, jedynie w odpowiednim ku temu momencie i dla stosownych oczu oraz na pewien czas, że tak powiem... Ale za moją sprawą powróciłeś szczęśliwie do swego istnienia. I liczę, że teraz sposobnie je wykorzystasz... – Puszczą mi oko, po czym niedwuznacznie spogląda na Nail.

– Tak, chyba tak... – odpowiadam niepewnie i sam spoglądając na dziewczynę, próbuję się odnaleźć w nowej, zupełnie niespodziewanej dla mnie sytuacji. Natomiast mój wybawca, w komnacie pełnej gnijących trupów, beztrąsko oddaje się dłuższym wywodom. Słyszę więc o tym, co poróżniło go z Virią, a także o przekreśleniu wspólnego losu Adory i Gabu, gdzie ten ostatni stał się obecnie doprawdy niezwykłą postacią. Słucham też o krwawych rządach Arezara w Terraticos i strachu przed kolejnymi najazdami z Otchłani w ościennych władztwach. Dowiaduję się jeszcze o całym mnóstwie innych rzeczy, w tym szczegółów na temat mego cudownego ocalenia. Wtedy zaś, gdy w głowie kiełkuje mi już pewien plan, co dalej począć, sam zdecydowanie przemawiam:

– Zaiste to wspaniały fortel godny mistrza złodziejskiej gildii... Przebicie jedynie naszej skóry grotami włóczni nasączonymi środkami dającymi mocny sen. Potem natomiast podanie odtrutki przeciw jadowi skorpionów. Szczęście, że nikt się nie zorientował. Teraz jednak jestem zmuszony prosić cię, prawdziwy przyjacielu mej matki, a więc i mój, o jeszcze jedną przysługę...

– Do usług! Ku pamięci mitycznej Anrei! – szczerzy się Ravel.

– A zatem, skoro, jak prawisz... masz tu ze sobą swych ludzi, to wezwij ich i zwiąż ją, tylko mocno. – Spoglądam surowo na Nail. – Ust nie musisz kneblować...

- Ciekawe... – podchwytuje skośnooki mężczyzna. – A co dalej...?
- Udamy się do portu, gdzie znajdziesz mi jakiś statek...
- Nie ma sprawy. Chociaż nie odmówię, jeżeli chciałbyś mnie dodatkowo zmotywować...
- Proś, o co tylko zechcesz, a będzie ci dane, zasłużyłeś – stwierdzam z determinacją.
- Na początek... Może namiętny pocałunek...?

*

Kobieta w czarnym, skórzanym i obcisłym stroju poprawia na głowie kapelusz z szerokim rondem, po czym odkręca słoik z zielonym płynem, w którym pływają liczne gałki oczne. Wyjmuje tę przewiazaną niebieską wstążką i wkłada sobie w ciemny oczodół. Uśmiecha się z przekąsem i już za chwilę ukazuje jej się widok z pirackiego okrętu z niebieską flagą łopoczącą na wietrze obok białej z wymalowaną na niej trupa czaszką.

Obraz pochodzi od jednookiego kapitana statku, podkomendnego kobiety. Zresztą każdy z jej kapitanów posiada na własnym wyposażeniu tylko jedno oko. Drugie do kompletu jest na użytek przywódczyni piratów. I to właśnie za sprawą magicznego płynu, rodem prosto z Otchłani, wyciągane ze słoika oczy ukazują kobiecie obraz serwowany akurat ich pierwotnym właścicielom. Tym sposobem Viria jest w stanie kontrolować pozycję całej swej floty i własnym, najszybszym okrętem odpowiednio przecinać drogę ściganym statkom.

Tak dzieje się także i teraz. Namierzony przez pirackiego kapitana okręt ucieka na zachód. Zaś kobieta, a zarazem herszt piratów, wychodzi ze swej kajuty, aby zlecić odpowiedni kurs sternikowi. Jednocześnie chłopiec okrętowy ma z bocianiego gniazda wyglądać we właściwym kierunku niewielkiej, kupieckiej jednostki pływającej.

Wkrótce zostaje ona zlokalizowana na morzu i bez trudu doścignięta. Wówczas Viria z grupą piratów dokonuje skutecznego abordażu, wdzierając się bezpośrednio na pokład po swoją łatwą zdobycz. Bardzo nieliczna załoga z miejsca się poddaje, natomiast kobieta herszt zdecydowanie kroczy prosto do kapitańskiej kajuty. Ostrożnie otwiera drzwi, a na zastany widok nieco zdezorientowana drapie się po głowie.

Oto na krześle siedzi dokładnie związana postać, którą rozpoznaje, a jest nią niewolnica Nail. Zaś oczywistym jest, że z wielu względów nie powinno jej tutaj być, a dodatkowo w takim stanie. Dlatego Viria zamyka za sobą drzwi kopniakiem i uzbraja się w szablę, po czym ostrożnie obchodzi Nail, sprawdzając wolną ręką krępujące ją liny. A wobec napotkania solidnych więzów, wyzywająco zapytuje:

– Kto cię tu związał i dlaczego, odpowiadaj moja ty oślizgła fląderko, bo wypatroszę! – Wobec braku reakcji Viria uderza dziewczynę w twarz raz i drugi, ale i to nie rozwiązuje jej języka. A skoro tak, to kobieta wzdycha ciężko i niespiesznie kontynuuje: – Jak mi wiadomo, dłuższy czas należałaś do jednego z moich kapitanów, Zachara. A jeżeli tak, to przecież moja osoba jest ci znana i wiesz, jak umiejętnie potrafię zmuszać ludzi do mówienia. Więc doprawdy wielce ci się dziwię, ciemna kałamarnico, że ciągle milczysz. Ale może to nawet i lepiej... Dawno nikogo nie kroiałam, wręcz brakuje mi tego... – Przykłada klingę szabli do policzka dziewczyny i powoli przesuwając ją do oka. Aż naraz czuje ona lodowate ostrze na własnym gardle oraz słyszy chrypiący, męski głos, mój głos:

– Związana dziewczyna nie może udzielić ci wyjaśnień.

– Nie może... – powtarza słabym głosem zaskoczona Viria.

– Otóż nie, bo ma skrępowane ręce.

– Skrępowane...

– Tak, a jest niemową.

– Niemową...

– Aha. Za to ja mogę się z tobą rozmówić. I w postaci ostrza na twojej szyi mam zdaje się doskonałą kartę przetargową.

– Kartę...

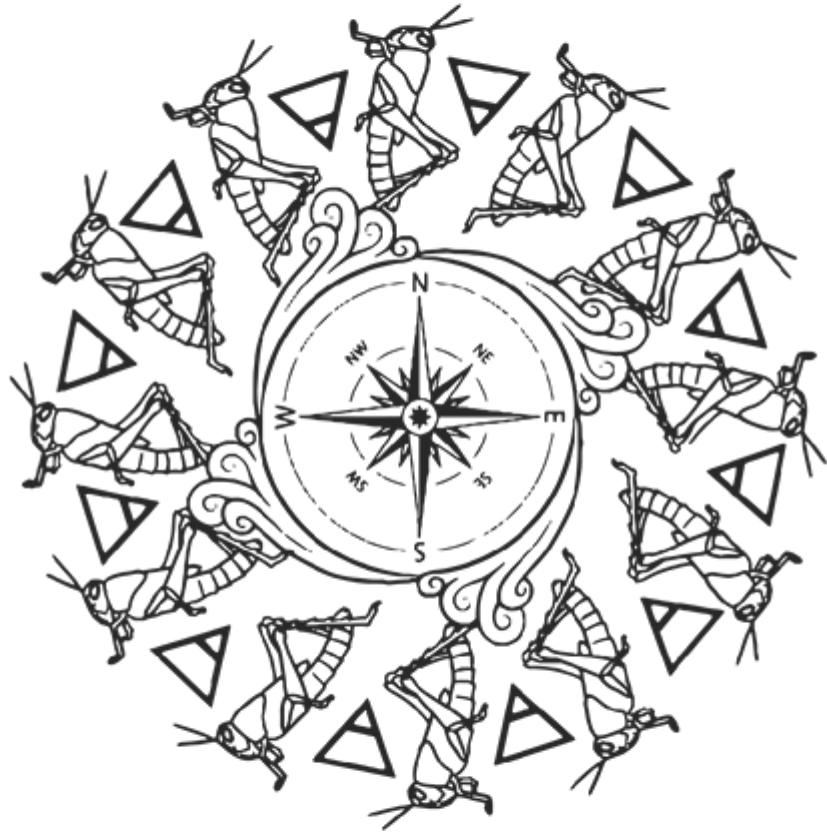
– Właśnie. A teraz odwróć się – posykuje. Viria idzie za mym wskazaniem i już całkiem zmarniałym głosem oświadcza:

– Toż to sam wypierdek Anrei, Avezan... Cóż za... niespodzianka... – Spogląda na mnie, to na otwartą, stojącą w pomieszczeniu skrzynię.

– Tak, niespodzianka – potwierdzam i surowo dodaję: – Niespodzianką natomiast nie będzie to, że obecnie mi grzecznie pomożesz.

- Czyżby...?
- Aha.
- A w czym, jeśli łaska wiedzieć...?
- Słyszałem od Ravela...
- Ravela...
- Właśnie. Twój były partner raczył mi wyjawić, że wasz wspólny znajomy, Gabu, jest teraz wielkim czarownikiem w Otchłani.
- W Otchłani...
- Zgadza się. I ty mnie do niego zaprowadzisz.
- A czemu... miałabym to uczynić...?
- Za wspaniałomyślne darowanie ci życia, rzecz jasna. – Mocniej przyciskam ostrze do kobiecego gardła. Na co Viria, pokorniejac, odpowiada:
- Spokojnie... tylko spokojnie...
- Uspokoję się, kiedy przysięgniesz, że mi pomożesz.
- Chyba... mogę to uczynić...
- Przysięgaj zatem.
- Przy... sięgam...
- Bardzo dobrze. – Z uśmiechem na ustach chowam nóż za pasek. Z kolei Viria odskakuje gwałtownie do drzwi i złowieszczo warczy:
- A nie przyszło ci do głowy, głupcze, żalosny naiwniaku, że mogę cię zaraz perfidnie zdradzić? Ha!
- Nie – oznajmiam spokojnie.
- Czyżby...?! – Wymierza we mnie szablę.
- Otóż ty i Ravel – mówię cały czas zupełnie swobodnie. – Wy nie kłamiecie. Tak powiadała o was moja matka, Anrea, i sama to potwierdzałaś w swych słowach. Wy nie kłamiecie. A zatem...?
- Tak, to prawda... – Viria naraz spuszcza z tonu i chowa swój oręż. – My nie kłamiemy... – potwierdza. Następnie otwiera drzwi, zdejmując z głowy kapelusz i zamasyście nim wymachując, z prawdziwą pasją drze się

wniebogłosy: – Stawiać żagle moje pirackie pomioty! Obieramy kurs na przekłątą Otchłań, by odwiedzić jaśnie czarownika Gabu!



Spis treści

I. JUŻ CZAS

II. PODRÓŻ

III. IMPERIUM

IV. PIRACI

V. ETOS

VI. KOSZARY

VII. W MATNI

VIII. W MROKU

IX. SŁODKI POCAŁUNEK TIRY

X. TURNIEJ KU CZCI AREZARA

XI. NOWE ROZDANIE